

**Nathacha Appanah**

**Wesele Anny**

*Przełożyła Krystyna Stawińska*

*Dla Bernarda*

Muszę to opowiedzieć powoli. Spokojnie, bez pośpiechu. Słowa się ze mnie wydostaną, przejdą pewną drogę, dojdą do gardła i wylecą jak podmuch, zwykły oddech, taki jak inne, coś, co się robi tysiące razy dziennie, oczywistość. Choć raz nie dać się ponaglać, nie ulegać codzienności, oprzeć się naszemu podstawowemu działaniu: wypełnić nasze życie, odgrywać Boga, udawać głupka.

Muszę opowiedzieć, jak długie lata czekamy, aż coś się wydarzy, aż wreszcie koło zacznie się kręcić, aż zostaniemy wypchnięci poza martwość codzienności i nagle, pod wpływem jednego spojrzenia, w jakiejś uludzie dnia podobnego do innych, tutaj i teraz, pojawia się to, czego wyczekujemy od zawsze: inne życie w zasięgu ręki. Ale bardzo często, w miarę jak wypełniamy nasze życie, odgrywamy Boga, udajemy głupków, ta chwila nam umyka i brniemy dalej, nawet przez moment nie podejrzewając, że minęliśmy się, właśnie teraz, tutaj, z szansą naszego życia, mężczyzną życia, kobietą życia.

Jest dwudziesty pierwszy kwietnia. Budzę się w świetle, które wnika przez brązowe drewniane okiennice i błąka się po łóżku z mojej lewej strony. Bezwiednie zawsze wybieram tę stronę łóżka, na którą pada słońce o świcie. We wszystkich pokojach, u przyjaciół, w hotelach, kładę się dokładnie po tej stronie łóżka i tu zastaje mnie ranek. A może tylko tak mi się zdaje, może to jeden z tysięcy pomysłów, które mi chodzą po głowie i w które po prostu wierzę, bo ciągle się pojawiają, zawsze w tym samym miejscu. Dziś od rana mówię z trudem, bo od kilku miesięcy znowu palę.

To przyszło znienacka, tak sobie, kiedy wszyscy wokół mnie przestają

palić, podejmują słuszną decyzję, ja robię krok wstecz. Zawsze mam przy sobie paczkę lekkich papierosów, wyglądam z tym śmiesznie, jak mówi Anna, moja córka, moja poważna, mądra córka. Patrzy na mnie surowo, a ja, jej matka, jestem zmuszona spuścić wzrok i ze wstydem chowam papierosy do torebki. Papierosy, przed którymi przestrzegają mnie wszyscy wokół, mówią, że umrę, że zanieczyszczam swoje bezpośrednie środowisko, że moja śmierć będzie powolna i pełna cierpienia. Te paczki papierosów uprzedzają o różnych okropnościach (rak, impotencja, osłabienie, brzydota... ), które powinny zmusić mnie do przerwania palenia, zapaskudzenia płuc nikotyną 0,70 mg, smołą 8 mg i tlenkiem węgla 8 mg, ale nie, moja odwaga, a może po prostu nieświadomość są bez granic, więc ciągle palę.

Moja córka Anna nie pali. Cieszę się z tego, wieszczę jej woli, prawości, zrównowazenia we wszystkim, co zawsze robiła, ale czasami dałabym nie wiem co, żeby móc wypalić razem z nią w milczeniu papieroska, pogrążając nas obie w kłębach dymu. Dzielibyśmy wtedy coś niedozwolonego, co by nas do siebie przybliżyło, ale nie wypada myśleć o takich rzeczach. Matka czegoś takiego nie robi. Matka jest święta, wszyscy to wiedzą. Daje mądre rady, mówi odpowiednie słowa w odpowiednim momencie, jest przepełniona łagodnością i miłością, gotuje dobre potrawy, a potem przekazuje przepisy w pożółkłym zeszycie ze spiralką, spisane ładnym pismem (matka oczywiście ładnie pisze, schludnie, cienką kreską, litery zwarte, pozakręcane, zgrabnie łączone, słowa jak gesty nieskończenie czułe), każdy przepis ma swój tytuł, dokładnie wyważone składniki, różne sposoby na udany sos, rozmaite sekrety, które sprawiają, że to będzie prawdziwy maminy przepis.

Anna mówi do mnie „mama”. Chciałabym, żeby nazywała mnie bardziej zdrobniale, żeby to było coś wymyślonego specjalnie dla mnie, tylko dla mnie, i gdyby kiedyś zawołała mnie za moimi plecami w gęstym tłumie, gdyby zawołała głośno tym imieniem, które by mi nadała, natychmiast bym się odwróciła, wiem to na pewno. Ale gdy w tłumie ktoś zawoła „mama”, setki kobiet się odwracają. Anna mówi do mnie „mama” uroczyście, poważnie. Wkłada w to pewną siłę, artykułuje, słowo staje się kanciaste jak spadzisty brzeg, wyszlifowane skały, niekiedy jest w tym pewien dystans, często jakby nagana. Czasem mam wrażenie, że tak właśnie mnie upomina, bo na dźwięk tego słowa nieruchomieję. Raz czy dwa zamiast „mama” usłyszałam „proszę pani” i to przepełniło moje serce łzami.

Anna. Moja dorosła córka, moje jedyne dziecko. Dziecko, wychowane nie tak jak trzeba, bo tych rzeczy nie ma w książkach, które czytam, ani w tych, które piszę. Anna, moja córka trochę do mnie podobna, jak sądzę, ma tak jak ja czarne gęste włosy, opadające aż na plecy, i kiedy wieczorem zwija je na ołówku, wiem, że ten gest należy do nas. Gdy była mała, przez długie godziny przyglądałam się jej, słuchałam, żeby potem dziwić się, że wyszła ze mnie. Jej palce, paznokcie mocne jak moje, które nigdy się nie łamią, jej oddzielone od siebie palce u nóg, paznokieć małego palca, prawie niewidoczny, zupełnie jak troszkę twardsza skóra, linie jej ręki, w które wczytywałam się, marszcząc brwi, próbowałam czytać jej przyszłość, cieszyłam się, że są takie wyraziste – czyż to nie zapowiedź życia długiego jak spokojna rzeka? Znamię pośrodku pleców, ciemne, w kształcie gruszki. Tysiące drobnych włosków u nasady warkocza, szczupłe ramiona, gładkie zgrabne kolana. Anna nie popełniała wielu głupstw, –

nigdy na przykład nie stłukła kolana tak jak ja, gdy byłam mała, a potem trochę starsza, zdarzało mi się to dziesiątki razy.

Wieczorem, kiedy była jeszcze dzieckiem, swoimi małymi paluszkami dotykała moich licznych zgrubiałych blizn, a ja opowiadałam ich historię. Ta tutaj wzięła się stąd, że wchodziłam na drzewo mangowe, by zerwać najbardziej czerwony owoc, i złamała się gałąź. Wylądowałam na miękkiej ziemi, ale wystarczył jeden kamyk, jeden jedyny, żeby mnie tak okrutnie zranić. A ta, to wtedy gdy w szkole odbywał się bieg na dwieście metrów, miałam piętnaście lat, nie było jeszcze syntetycznej bieżni, biegłam w białych tenisówkach na gumowej podeszwie po drobnym żwirze, który chrząścił przy każdym kroku. Upadłam, natychmiast się podniosłam i jak gdyby nigdy nic ukończyłam bieg. Potem dwie pielęgniarki trzymały mnie za ręce i za nogi, a trzecia pęsetką wyjmowała drobinki żwiru wbite w czerwone ciało. Mimo to wygrałam bieg, choć nie zerwałam owocu mango, ale ta część historii już jej nie interesowała. A tutaj to mecz piłki nożnej z bratem na grząskim, błotnistym boisku: noga obsunęła się po piłce, kolano złamane i operacja, która pozostawiła długą bliznę, jak zamek błyskawiczny, i napady bólu, kiedy jest zimno. Anna wzdrygała się i mówiła: „Mamo, jesteś niepoprawna”. Lubiłam jej to opowiadać, miałam nadzieję, że będzie z tego dumna, z takiej zwariowanej matki, niepoprawnej chłopczycy, że opowie przyjaciółom o niesfornej matce, ale nie, nie okazywała żadnego zrozumienia, czasem nawet trochę się wstydziła. Czułam to, kiedy zapraszała do domu przyjaciół, gdy przy kolacji wspominałam, że kiedyś byłam mistrzynią w sprincie, ja, niby pisarka, kobieta o bujnych włosach i uciekającym wzroku na zdjęciach. Mówiłam to, żeby zaskoczyć jej przyjaciół, żeby tak bardzo się mnie nie

bali, gdy widzą mnie w otoczeniu książek, żeby ich rozśmieszyć, mogę przecież opowiedzieć mnóstwo różnych historyjek o moich zawodach, ale Anna najeżała się, zażenowana, mówiła „mamo” głosem pełnym wyrzutu, więc przestawałam opowiadać. Bardzo chciała mieć matkę taką jak inni, matkę o doskonałym ciele i gładkich kolanach.

Pamiętam jej dziewczęce ciało, gdybym umiała rysować, narysowałabym je z najmniejszymi detalami. Nie wiem, jakie jest teraz, bo od czasu gdy skończyła jedenaście lat, zamyka drzwi na klucz, kiedy się przebiera. Latem, kiedy wkłada kostium kąpielowy, próbuję dojrzeć, ukradkiem, jak podglądaczka, znamię w kształcie gruszczyki, chciałabym, żeby pozwoliła mi pomasować stopy, bym mogła dotknąć małego paznokietka, ale ona tego nie lubi. Zbyt intensywny kontakt, nadmierna intymność źle ją nastrajają. Anna, moja córka, bardzo wcześnie oddaliła się ode mnie. A może to ja zrobiłam jakiś fałszywy krok, kiedy zajmowałam się moimi książkami, wymyślałam całe rodziny, kochałam je, sprawiałam, że się rozrastały, potem zabijałam, rozbijałam do woli, może właśnie w takich chwilach byłam matką zbyt oddaloną, nieobecną, matką z popiołu i dymu?

Kiedy poznała pierwsze cierpienia miłosne, nie powiedziała mi o tym, przez ścianę dzielącą nasze pokoje słyszałam, jak płacze, robiłam jej herbatę, która stygła niewypita, aż na powierzchni robił się ciemny kożuszek i osiadał niczym liszaj na ściankach filiżanki. Wolała kawę, ale ja nie umiem robić kawy, wychodzi mi tylko brązowa ciecz bez żadnego smaku. Miałam ochotę ją objąć, pogłaskać po włosach, powiedzieć, że to przejdzie, przytulić do serca, tak jak w czasach, gdy była mała, ale nie, nie chciała, a ja pewnie nie potrafiłam odpowiednio się do tego zabrać.

Myślałam wtedy, że może mnie nie kocha. Całkiem możliwe, to zdarza się o wiele częściej, niż myślimy, dzieci nie mają obowiązku kochać swych rodziców.

Anna poświęciła się cyfrom. Kiedy to mówię, wznosi wzrok do nieba, robi niezadowoloną minę małej mieszczki. Zaciśnięte, nieco opuszczone usta, głębokie westchnienie, ledwo dostrzegalne potrząśnięcie głową, powolny, pełen rezygnacji gest lewej ręki. Gdzie się tego nauczyła? Robiła jakieś obliczenia, skomplikowane tabelki, w jej zeszytach płąsały cyfry, wykresy z krzywymi wzrostu i spadku wysokości obrotów, teorie tłumaczące, dlaczego rynek źle funkcjonuje, dlaczego następuje poprawa, tym się Anna zajmowała. Powieści, historia, języki, literatura niewiele dla niej znaczyły. A jednak nigdy nie przestałam kupować jej książek. W każdą niedzielę włóczę się nad Saoną, tam gdzie bukiniści już mnie dobrze znają i wprawdzie nadal mówią do mnie „proszę pani”, ale też po imieniu, bardzo to lubię: słyszeć swoje imię i zaraz potem „proszę pani”. Mam wrażenie, że mnie szanują i że jestem jednak na tyle pociągająca, że mam imię, które ktoś wymawia. Zawsze wynajduję jakąś książkę, która, mam nadzieję, zainteresuje Annę. Wkładam do koszyka pomiędzy starocie, które kupiłam, a ona dziękuje, kiedy jej ją podaję, czyta tytuł, grzecznie ogląda czwartą stronę okładki, udając, że docenia, ale potem odkłada na dużą półkę, wstawia ją między moje książki. Jeden raz, jeden jedyny, nic jej nie przyniosłam, całe pieniądze wydałam na książkę Camusa w starej oprawie koloru bordo, zbiór jego sztuk teatralnych. Na pierwszej stronie ktoś napisał „z miłością”, piórem robiącym kleksy, dlatego to kupiłam, dla tych niezgrabnie napisanych słów „z miłością”, niepodpisanych. No i nie miałam już ani grosza na co innego. Kiedy wróciłam, Anna pomogła mi



wnieść zakupy z targu, po czym czekała, stojąc obok mnie. Kiedy zobaczyła, że nic dla niej nie mam, lekko dotknęła mojego ramienia i spytała: „Mamo, wszystko w porządku? Jak chcesz, możemy dziś wieczorem pójść do kina”. Był w jej głosie jakiś rozczulający niepokój, może myślała, że jestem na nią zła, i ta nagła uwaga zmiękczyła moje serce, ledwo powstrzymałam płacz. Może jednak trochę mnie kocha? Może właśnie takie drobiazgi o wszystkim decydują? Przyzwyczajenie, rutyna, aż tu nagle następuje zmiana i odkrywamy to, co utraciliśmy.

Kiedy budzę się rano dwudziestego pierwszego kwietnia, długo siedzę na łóżku; promień słońca łagodnie grzeje mnie w lewe ramię. Na dworze dzieci jeżdżą na wrotkach, słyszę zgrzyt kółek. W końcu wstaję, ostrożnie robię parę kroków, chce mi się pić, staram się stąpać tak, żeby parkiet nie zatrzeszczał. W kuchni jest dużo paczek w eleganckich papierowych torbach z pałkami plecionymi jak jedwabiste w dotyku sznury podtrzymujące firanki. Za chwilę, nie mogąc się zdecydować na ich wyrzucenie, starannie poskładam torby i włożę za deskę do prasowania, gdzie piętrzy się już cały stos.

Ostrożnie uchylam drzwi do pokoju Anny i podchodzę do niej. Staram się być lekka, jak to tylko możliwe, cicha, jak potrafię, pomimo chęci kaszlnięcia i przeczyszczenia sobie gardła. Dlaczego znowu zaczęłam palić? Trochę się pocę, tak jakbym się bała, że ją obudzę, a ona rzuci owo ganiące „mamo” i będę musiała się wycofać. W jej pokoju jest chłodno, śpi na plecach, moja córeczka, z ręką w poprzek piersi, drugą wsuniętą pod poduszkę. Czarne włosy są rozrzucone, przez chwilę marzę, żeby otworzyła oczy, uśmiechnęła się do mnie, a ja położę się obok niej i zaśniemy razem jeszcze na trochę, przecież jest sobota, można sobie na to

pozwoić. Ale nie, ona śpi, oddycha miarowo, ma rozchylone usta, widać przednie zęby, równiutkie, białe, nieskazitelne, zęby jak u amerykańskiej aktorki. Przed kilkoma laty nosiła aparat ku memu wielkiemu zaniepokojeniu. Uważałam, że dwa przednie zęby, lekko na siebie zachodzące, nadawały jej wyraz nieco buntowniczy i łagodny zarazem, ale ona nie przyjmowała moich rad nieświadomej matki – widział to kto – przeciwniczki aparatów na zęby. Jej cera promienieje w tym błękitnym świetle poranka. Stoję chwilę, patrząc, jak śpi, wyobrażam sobie jej sny księżniczki, bo moja córka podobna jest do księżniczki. Obok łóżka, na wieszaku, w bezruchu wisi suknia ślubna koloru kości słoniowej.

Za chwilę zrobię jej niespodziankę. *Something old, something new, something borrowed and something blue.* Coś starego, pożyczonego, niebieskiego i coś nowego. W paczuszce, którą przygotowałam przed dwoma tygodniami, jest stara chusteczka mojej matki, moja złota bransoletka, do której jestem bardzo przywiązana i którą jej pożyczam, majteczki z niebieskiego jedwabiu prześlizgujące się przez palce, mam nadzieję, że nie będzie miała pretensji, nie lubi, kiedy ofiarowuję jej bieliznę, a jeśli chodzi o coś nowego, opróżniłam konto oszczędnościowe, by kupić małe kolczyki z prawdziwymi perełkami. Jeżeli zechce, dzisiaj, w dzień ślubu, włoży to wszystko na siebie, żeby przyniosło jej szczęście.

Suknia ślubna wisi jak obraz na ścianie. Jest piękna, może trochę za grzeczna, ale cóż, to święto Anny. Dzisiaj, dwudziestego pierwszego kwietnia, wydaję za mąż córkę, odsunę na bok swoje myśli starej wariatki, będę taka, jak ona lubi: godna, starannie uczesana, umalowana, uśmiechnięta, gotowa do konwersacji, których będę słuchać z udawanym entuzjazmem, po których nie pozostanie mi najmniejsze wspomnienie,

wystrojona, aby krążyć od gościa do gościa, doskonała matka, jaką dziś właśnie będę. Schowam się tylko na chwilę, by zrobić sobie inhalację antynikotynową.

Dzisiaj wydaję córkę za mąż. To zdanie rozbrzmiewa mi w głowie, kiedy patrzę, jak ona śpi. Mam czterdzieści dwa lata i dzisiaj wydaję córkę za mąż. Nagle wydaje mi się, jakbym opuściła własne ciało, unoszę się nad śpiącą Anną i nad sobą samą, patrzę na to wszystko jak na jakiś film, mówię sobie, że to nie może mi się przydarzyć, nie mnie. Chciałabym być mądra w dniu ślubu mojej córki, to znaczy nie bać się jutra, uśmiechać się, patrząc w przeszłość, bez obawy oczekiwać przyszłości, dokonać tego, co zamierzałam, nikomu niczego nie zazdrościć bez względu na sytuację, mieć u boku czarującego mężczyznę, być na tyle pewną siebie, by wybuchać śmiechem i rozśmieszać innych, chciałabym mieć dystans do własnego życia, żeby dodawać odwagi córce, ale nie, nie jestem taka, nie mam tego wszystkiego.

Kiedy wychodzę z jej pokoju tego dnia, dwudziestego pierwszego kwietnia, dochodzi siódma, a za drzwiami czeka na mnie starość.

Nazywa się Alain. Anna poznała go półtora roku temu w Barcelonie. Nie opowiadała mi szczegółów ich spotkania, nie mówiła, czy czuła, jak jej ciało mięknie na dźwięk jego głosu, czy już na początku ją rozśmieszył, czy ujął ją prostymi czułymi gestami, kwiatami czy może udawaniem łobuziaka.

Anna pojechała do Barcelony na wakacje, do swojej przyjaciółki Niny, która pracuje w archiwum starych fotografii. Kiedyś Nina mieszkała w pobliżu. Chętnie do nas przychodziła, nawet kiedy Anny nie było w domu. Już wtedy lubiła grzebać w książkach, wiedziała, co robić z pełnymi pudłami, których ja nie mogę rozpakować z braku miejsca. Dzwoniła, a kiedy jej otwierałam, pytała cienkim głosem: „Proszę pani, czy mogę trochę pogrzebać w pani pudłach z książkami?”. Zawsze chciało mi się śmiać z tego pytania i trochę za cienkiego głosu, jakim je wypowiadała, tak jakby powtarzała tę kwestię przez całe dwieście metrów drogi dzielących nasze domy. Odpowiadałam „tak, oczywiście”, wtedy swoimi drobnymi białymi rączkami wyjmowała zakurzone książki, zatrzymując się czasem na tym czy innym egzemplarzu, dmuchała, przewietrzała strony, przytrzymując je kciukiem. Układała książki według sobie tylko znanego porządku, na podłodze, w stosach po cztery. W końcu wokół niej piętrzyło się coś w rodzaju wieży. Robiła to bezgłośnie, nigdy nie przerywała, była skupiona, w pełni oddana swemu zajęciu, wznoszeniu tej wypracowanej konstrukcji, od czasu do czasu spoglądałam na nią, ale w końcu zapominałam o jej obecności. Kiedy wracała Anna, Nina wszystko starannie wkładała do pudła, dziękowała mi i obie zamykały się w pokoju.

Ojciec Niny jest Włochem, nazywa się Ugo, po rozstaniu z jej matką zamieszkał w Barcelonie, choć nigdy wcześniej jego noga tam nie powstała. Włoch w Hiszpanii, co za pomysł, ale takie rzeczy się zdarzają. Ja urodziłam się w kraju, w którym z każdego miejsca widać morze i gdzie przez cały rok temperatura nie spada poniżej dwudziestu pięciu stopni... Nina spędzała wakacje u niego w Barcelonie, w mieszkaniu pełnym szarych kotów. Któregoś dnia powiedziała mi, że ojciec twierdzi, jakoby koty nie lubiły mleka, tylko my, ludzie, jesteśmy święcie przekonani, że lubią. *Ai gatti non piace il latte*. Pomyślałam, że jest pełno takich sytuacji, dokonujemy wyboru za innych, myśląc, że robimy im przyjemność, nie wiadomo, z powodu jakiej to aroganckiej właściwości umysłu, w końcu wierzymy, że sami lepiej wiemy, co może przynieść im szczęście. Matka Niny powtórnie wyszła za mąż za księgowego, wysokiego blondyna, który tyje wyłącznie na brzuchu, zwykle spotykam go w kiosku, kupuje cygaretki w ciemnych metalowych pudełkach. Ma delikatną twarz, ręce chude i sęcate, palce jak u pianisty i nagle wielką wypukłość w miejscu brzucha. Kiedy mówi do sprzedawcy, nie zdaje sobie sprawy, że brzuch mu się trzęsie i wargi, jakby w sobie chował coś żyjącego. Zapomniałam, jak ma na imię, jakoś tak zwyczajnie, Jacques, Jean czy Pierre, już sama nie wiem.

Przed dwoma laty, po ukończeniu studiów, Nina postanowiła zamieszkać u ojca. Mojej córce było z tego powodu smutno, a ja zachęcałam ją, by pojechała do przyjaciółki. I tak zrobiła zeszłego lata. Tam właśnie poznała Alaina, nie wiem dokładnie gdzie, Barcelona jest ogromna. Wyobrażam sobie, że może w jakimś bistro, bo Anna lubi kawę, którą tam podają, lubi tę ciemną piankę na wierzchu, zanurza w niej usta

niczym w nektarze, z namaszczeniem. Jak przypuszczam, powiedzieli sobie, że oboje mieszkają w Lyonie i od razu pewnie ich to zbliżyło, na początku taki szczęśliwy zbieg okoliczności bardzo pomaga, wydaje się jakimś znakiem. Nie wiem, czy poszli do łóżka tam, czy tutaj, po powrocie. Mam nadzieję, że tam, w środku lata, przy otwartych oknach, że słyszeli, jak wiatr łopocze w prześcieradłach, które kobiety wywieszają do suszenia między domami. Miłość gdzieś indziej, tak jest o wiele lepiej...

Z Barcelony raz na tydzień Anna wysyłała do mnie list. Opisywała miasto, troszeczkę, donosiła, co robią z Niną, właściwie nic specjalnego. Pisała krótkimi zdaniami, podmiot, orzeczenie, dopełnienie, szkolne zdania. Czasem miałam wrażenie, że przysyła mi wypracowanie na zadany temat: „Opowiedz mamie swoje wakacje”.

Po miesiącu napisała w liście o Alainie. Zaczęła od tego, że ojciec Niny przygarnął dwa następne koty, że ona sama czuje się dobrze, że jest gorąco i boi się, że oparzyła sobie na słońcu ramiona. W drugim akapicie (Anna robiła akapity, tak jak w dyktandzie, od nowej linijki, przerwa i w ten sposób, pisząc list zdaniami oddzielonymi dużymi odstępami, umiejętnie rozplanowanymi, robiła wrażenie, że zwierza mi się z wielu spraw) napisała: „Jeśli chodzi o sprawy sercowe, poznałam Alaina, Francuza, który spędza wakacje w Barcelonie. Mieszka w Lyonie, w okolicy Saint-Just, wyobrażasz sobie! Jest tu z przyjaciółmi i zaprosili nas, mnie i Ninę, żebyśmy spędzili razem weekend na plaży”. Tak wyglądało jej spotkanie z Alainem. Pojechała z tym chłopcem na plażę, a tydzień później napisała, że skończył prawo (od razu przypomniało mi się powiedzonko Coluche’a: „Studia to cztery lata prawa, a cała reszta lewa”, ale nie powiedziałam go Annie, nie lubi żartów na ten temat i że jest komornikiem sądowym.

Komornikiem! Od razu pojawił się w mojej głowie obraz małego rachitycznego człowieczka, który puka do drzwi, przynosi ostemplowane dokumenty, a potem mówi: „Proszę pani, zarekwirujemy pani rzeczy, proszę nam zaufać, nie będzie problemu”. Dobrze wiem, że to tylko myślowy stereotyp, ale po prostu coś takiego przyszło mi do głowy w pierwszym odruchu. Komornik! Jak można zakochać się w komorniku? Pomyślałam tak i natychmiast tego gorzko pożałowałam, wzięłam się w garść, prawiąc sobie samej morały, próbując znaleźć jakieś okoliczności łagodzące... Ten chłopiec jest odważny, na pewno wszyscy mu wymyślają, po nim są już tylko strażnicy miejscy, kontrolerzy w autobusach, przecież komornicy też są potrzebni, tak, tak, to musi być odważny chłopak. Powtarzałam to sobie, czytając list Anny, próbując zdusić to głupie rozczarowanie, które ogarniało moje serce. Żałuję, córeczko, że coś takiego przyszło mi do głowy, w dodatku o kimś, kto zostanie twoim mężem. Tak, miałam nadzieję, że trafisz na chłopca, który cię rozpali, uniesie cię daleko od tych twoich cyfr i marzeń o ustatkowanym życiu, zabierze cię w podróż do krajów, których nazwy nawet nie sposób wymówić, mężczyznę, który czyta rano, nie tylko wieczorem przed zaśnięciem, mężczyznę z kilkudniowym zarostem, kłującym i łaskoczącym, mężczyznę, który rozśmieszy też twoją matkę. Masz rację, jestem niepoprawna, jestem niegodną matką. Powinnam się cieszyć, cieszę się, obiecuję ci. Dzisiaj zrobię ci przyjemność.

Kiedy wróciła z Barcelony, była zakochana. Wydawało się, że jej życie jest teraz skupione tylko na niej samej, być może teraz zwracała uwagę na serce, to serce, którego istnienie człowiek uświadamia sobie, kiedy traci dla kogoś głowę. Przez cały czas o nim myślała, uśmiechała się w

milczeniu, wyglądała jak otoczona aureolą, której nie ważyłam się naruszyć. Była też delikatniejsza w stosunku do mnie. Niekiedy nawet śmiała się z moich opowieści. Wróciłam właśnie z targów książki, gdzie wraz z kanadyjskim pisarzem piłam i paliłam grubo ponad miarę i gdzie rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o książkach. Pod koniec wieczoru zasnęliśmy na dworze pod wielką japońską wiśnią całą w kwiatach, rano byliśmy przykryci różowymi płatkami, jakby tysiącem leciutkich piórek. Jakiś kelner kazał nam się wynosić, krzycząc na nas, myślał zapewne, że ma do czynienia z parą pijaczków. Anna śmiała się z tej historii. Nie powiedziałam jej, że poszliśmy razem do pokoju, Kanadyjczyk i ja, poruszeni tymi różowymi płatkami, to istnieje chyba tylko we śnie, w którym z nieba spadają takie podarunki, ani że spaliśmy głęboko obok siebie aż do południa, bez żadnej dwuznaczności, i obudziliśmy się w spokoju ducha, a to rzadko się zdarza w towarzystwie kochanków czy kochanek.

Anna i Alain zaręczyli się po roku, poprosił ją o rękę na moście nad Saoną, nie sprecyzowała na którym. Nie powiedziała mi też, czy miała łzy w oczach, czy odczuwała tę mieszaninę ekscytacji i obawy, czy tego dnia wiał wiatr, czy czule się całowali. Powiedziała „tak”, a wieczorem pokazała mi swój pierścionek, soliter z malutkimi pręcikami inkrustowanymi rubinem. Wzięłam w rękę jej dłoń, pocałowałam jej palce i popłakałam się. Powiedziałam, że jestem bardzo szczęśliwa. Uśmiechnęła się i zamówiliśmy pizzę, którą jadaliśmy w milczeniu.

Nie myślałam o małżeństwie, tak naprawdę nie od razu dotarło do mnie, że następny etap to zapewne będzie ślub. Anna zapaliła dwie świece, dopijałyśmy wino, swobodnie, z nogami opartymi na krzesłach,



spowite pulsującym światłem i alkoholem wywołującym lekki rausz. Rozmawialiśmy o tym i owym, było nam dobrze. Kilka dni później poznałam Alaina. Anna zaprosiła go do domu na kolację, przedtem dała mi listę przykazań, które mnie rozśmieszyły, ale ją nie, moja córka brała to wszystko na serio. Posprzątać mój pokój do pracy, przewietrzyć mieszkanie, bo znowu zaczęłam palić, przykryć stół białym obrusem, tym na wielkie okazje, kupić kwiaty dwa dni wcześniej, żeby wyglądało, że zawsze mamy w domu kwiaty, a nie że kupiłyśmy je specjalnie na ten wieczór – Anna mówi o tym tak normalnie, jakby odbyła nauki u baronowej Rothschild – włożyć sukienkę, a nie dżinsy, a już na pewno nie Tshirt z napisem „Ach, Mauritius”, pamiątkę z wyspy, ofiarowaną mi przed laty przez moją przyjaciółkę tam mieszkającą. To mój ulubiony T-shirt, na którego widok córka zgrzyta zębami i mówi, że wyglądam w nim jak „stara idiotka z rozumkiem czternastki”.

Alain przyniósł czekoladki i kwiaty – nie zwyczajne kwiaty luźno zawinięte w gruby pakowy papier, może tylko przewiązane rafią, które niesie się przed sobą jak dziecko w ramionach, w których można zanurzyć twarz – nie, przyniósł kunsztowny bukiet, elegancki, jak to się mówi, „wypasiony”. Dwie lilie w wazoniku podobnym do naczynia laboratoryjnego. Lilie proste jak drut, o jakiejś magicznej równowadze, niemające nic z wiotkości i delikatności kwiatów, bo z białych piórek pokrywało szyjkę wazonu-naczynia, a w wodzie unosiły się białe błyszczące drobinki. Dwa dni później, kiedy lilie zwiędły, a ja próbowałam uwolnić je z owej przedziwnej konstrukcji, ogarnęła mnie zgroza, bo odkryłam w nich drut, który sprawiał, że aż do ostatecznego zwiędnięcia stały wyprężone jak żołnierz.

„Jaki wspaniały bukiet, prawda, mamó?” – powiedziała Anna. Po co te wszystkie sztywne maniery! Nie wiedziałam, czy mam ochotę wyrzucić tego chłopaka za drzwi, czy wybuchnąć śmiechem. Czułam palenie policzków, ale może to z powodu whisky, którą wypłam dla kurazu. Mówił do mnie „proszę pani”, mimo że przedstawiłam się imieniem i nalegałam, by zwracał się bezpośrednio, ale najwyraźniej nie chciał. Miał na sobie marynarkę w kratę, w której dobrze wyglądał, krótkie włosy odsłaniały bliznę w górnej części czoła. Nie wiem, czy wydał mi się przystojny. Wydał mi się grzeczny, to jest odpowiednie słowo. Bardzo grzeczny. Chciałabym, żeby wylał sos, upuścił kawałek mięsa, ale nie, był przerażająco doskonały. Jedynek, opowiadał o swoich rozwiedzionych rodzicach. Ojciec dziennikarz pisze książki o Afryce, matka gospodyni domowa. Tak właśnie mówił o swojej matce, „gospodyni domowa”. Zastanawiam się, czy Anna mówi o mnie „kobieta dziwaczna i nieobecna”.

Próbowałam dowiedzieć się czegoś więcej, zadałam kilka pytań dotyczących ojca, jakie książki, dlaczego Afryka, ale Alain uśmiechnął się, mówiąc, że nie ma z nim dobrych stosunków. W tym momencie Anna pogłaskała go palcami po karku, zaśnił jej duży pierścień i popatrzyli na siebie z miłością. Zamilkłam, zagłębiłam wzrok w talerzu i żałowałam, że zamiast tkliwej radości jest we mnie tylko smutek ściskający serce i uczucie, że nie jestem sobą.

Postanowili się pobrać sześć miesięcy temu. Powiedziałam Annie, że wydaje mi się to zbyt pochopną decyzją, ale popatrzyła na mnie, mówiąc, że nie powinnam zabierać głosu w tej sprawie. Nie tak to wyraziła, w gruncie rzeczy, ale niezależnie od użytych słów wyszło na to samo. Alain

znalazł pracę w Paryżu, w dużej firmie, a ona nie chciała się z nim rozstawać. „Duża firma” – to sformułowanie zwykle ma uspokoić rodziców, natomiast ja aż się wzdrygnęłam. Wyobraziłam ich sobie zamkniętych w ciemnym budynku bez wyjścia, otoczonych ludźmi w szarych garniturach, łasymi na pieniądze. Po co się pobierać? Dlaczego najpierw nie pomieszkać razem? Ale Anna, moja solidna, zdecydowana Anna, podjęła już decyzję. Dlaczego miałyby słuchać matki, która nigdy nie potrafiła zatrzymać przy sobie mężczyzny, nigdy nie potrafiła zostać żoną? Staralam się ją jakoś przekonać, ma dopiero dwadzieścia trzy lata i tak się spieszy, podczas gdy teraz właśnie powinna się cieszyć życiem, rozglądać się, próbować, wracać, wyjeżdżać, Anna chciała wyjść za mąż. Mówiłam jej o rutynie, o drobnych codziennych sprawach, które kruszą najsilniejsze związki, o wieku, zmianach, o różnych upodobaniach, o tym, co jeszcze może się zdarzyć, ileż to uczuć zamiera w zarodku wraz z pospiesznym ślubem, ale ona odparła: „To jest miłość mojego życia, mamo”. Powiedziała to bardzo łagodnym głosem, tak jak dziecku obwieszcza się jakąś niedobłą wiadomość; wobec tak stanowczego stwierdzenia, tnącego jak nóż, które powinno pozostać niewypowiedziane, tak jak przed śmiercią człowiek przypomina sobie wszystkie swoje miłości i wybiera jedną tylko po to, żeby zabrać ją ze sobą na tamtą stronę, wobec tego zdania, którego ja sama nigdy nie wyrzekłam, nigdy nie pomyślałam, musiałam ulec.

Widywałam Alaina wiele razy, ciągle mówił do mnie „pani”, zadawał ugrzecznione pytania na temat życia codziennego. Nigdy nie został u nas na noc, Anna chodziła do niego. Kiedy nie wracała na noc do domu, dzwoniła do mnie wieczorem, żebym się nie niepokoila, poważna

grzeczna córeczka, a w tle czaiła się już cisza mieszkania starego małżeństwa. Gdy nie ma Anny, a ja kończę pisać, w kółko włączam muzykę z lat sześćdziesiątych. Znam na pamięć słowa, swinguję, rockuję, wydaje mi się, że mam piętnaście lat. Rozkręcam sprzęt na cały regulator, przegryzam różne różności, które na pewno nie są dobre dla zdrowia, szybko wypełnia mi się żołądek. Chciałabym, żeby Anna była ze mną w tych chwilach, gdy pozostawiam za sobą wszystkie swoje przeżycia i napawam się przedziwną satysfakcją z zapisanego papieru.

Muszę przyznać, że niewiele wiem o małżeństwie. Na początku próbowałam się w to wciągnąć, też miałam różne pomysły, na przykład ujrzeć córkę idącą do ślubu boso, ubraną na czerwono, z rozpuszczonymi, zakręconymi na tę okazję włosami, w które tu i ówdzie wetknięte by były małe margerytki. Ale oni postanowili skorzystać z *wedding plannei*. Ci ludzie organizują wszystko: dostarczenie jedzenia, dekorację, zaproszenia, kwiaty, listę prezentów, fryzjera, kosmetyczkę i prawdopodobnie także nakrycie stołu.

Anna musiała tylko wybrać suknię, buty, bo oczywiście nie chciała być boso, uważała, że to śmieszne. Użyła właśnie tego słowa: „śmieszne”. Przez całe życie szukam odpowiednich słów, słów, które nie znaczą niczego innego, których nie można zastąpić synonimem, bo w przeciwnym razie wszystkie słowa oznaczałyby w końcu to samo, i czasami mam wrażenie, że słowa Anny są mocniejsze, ostrzejsze, tkwią mi w głowie jak gwoździe wbite w ścianę. „Iść do ślubu na bosaka to śmieszne, mamo”. Mogłaby powiedzieć: „nie, dziękuję”, to „niemodne” albo „starodawne” albo „pretensjonalne”, a nawet „hipisowskie”, ale nie, ona użyła słowa „śmieszne”.

Firma tych, którzy organizują śluby, nazywa się „Najpiękniejszy Dzień w Twoim Życiu”, to dopiero jest śmieszne, prawda? Wynajęli zamek w Ain, widziałam na zdjęciu, powiedziałam „dobre miejsce”, żeby zrobić Annie przyjemność. Dojrzałam w tym tylko szarość, ciężkość, monumentalizm. Nie wiem, ile wszystko kosztowało, ale Alain zapłacił. Anna powiedziała mi to poufnie, wtedy gdy prosiłam ją, by przyjęła mój niewielki wkład finansowy, obawiała się jednak moich pomysłów. To wcale nie było zabawne, miałam ochotę potrząsnąć moją córką, powiedzieć jej, żeby uciekła szybko, jak najszybciej, od tego mężczyzny, który chce za wszystko płacić. Ale ona już się zgodziła, aż do tego stopnia była już lojalną, wierną żoną. Już do niego należała.

Powoli traciłam zainteresowanie ślubem, nic w domu nie świadczyło o tym, że zbliża się taki dzień. Anna wychodziła rano do pracy, wracała wieczorem i wtedy spokojnie jadłyśmy kolację w kuchni, popijając odrobiną wina. Później szłam do okna zapalić papierosa. Pytała, czy powieść posuwa się naprzód, ja wzruszałam ramionami, zawsze to robię, kiedy pytają mnie o moje pisarstwo. Nie wiem, co to znaczy, że powieść posuwa się naprzód. Czasami spędzam długie godziny przed ekranem, patrząc na mrugającą małą kreseczkę, w oczekiwaniu na kolejny wyraz, a po chwili piszę jedno zdanie i jestem zadowolona. Niekiedy pędzę na całego, opuszczając litery, bo słowa dosłownie ciurkiem wylatują mi z głowy. A czasem nie piszę nic, rozmyślam, nasłuchuję, cierpliwie czekam. Piszę teraz powieść o dziecku. Nazywa się Robin, ma dziesięć lat, jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym, on leci samolotem do swego przyrodniego brata w Afryce Południowej, syna z pierwszego małżeństwa ojca, brata, którego nigdy nie widział. Robin sam to opowiada. Jest

przekonany, że zabił swoich rodziców, bo tamtego wieczoru ukarali go za to, iż jadł czekoladę w swoim pokoju i poplamiał piżamę. Przez króciutką chwilkę zażyczył sobie ich śmierci, tak bardzo na niego krzyczeli. Oni tacy byli, pozwalali mu bawić się poza domem przez długie godziny, podpalać gazety na podwórku, łapać jaszczurki i wpychać im do pyska papierosa, żeby zobaczyć, jak pękają, a potem robili awanturę o te nieszczęsne plamy z czekolady... Wszystko trochę mu się miesza w głowie, Robin opowiada to w dziecięcy sposób, słowami dziesięcioletniego chłopca, trochę bezczelnie, jak urwis, a kiedy do drzwi dzwoni policjant, jest przekonany, że ten wypadek to jego wina. Oto historia, którą chcę opowiedzieć.

Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego niektóre opowiadania nie mogą przybrać realnych kształtów. Nieraz wydaje mi się, że już wszystko mam, żeby zacząć pisać, że wystarczająco długo czekałam, tak jak się czeka, aż owoc dojrzeje, że mam w sobie nieprzepartą chęć pisania, i nie wiem, z jakiego powodu słowa nie przychodzą do głowy. Z czasem nauczyłam się cierpliwości w stosunku do słów, tempa pisania, wprawiłam się w tym. Próbowałam też nie starać się panować nad wszystkim, to przecież nie jest przepis kulinarny z dokładnie zalecaną kolejnością i czynnościami. Historia Robina to jedna z wielu, które od dawna tkwią mi w głowie i Bóg jeden wie, ile razy siadałam do stołu, żeby pisać. Ach, ileż miałam w sobie gniewu, złości i zniechęcenia! A jednak kilka miesięcy temu, kiedy znowu skusiła mnie sprawa Robina, słowa nagle przyszły same, powróciły obrazy i praca zaczęła się posuwać krok po krocisku. Dlaczego akurat w tym momencie? Czy wcześniej nie miałam wystarczająco dużo naiwności i beztroski, aby opowiedzieć o poczuciu winy u dziesięcioletniego dziecka i

jego pierwszych trudnych krokach w świecie dorosłych? Czy może po prostu jeszcze nie nadszedł odpowiedni czas?

Ostatnio, kiedy Anna rozmawia ze mną wieczorem, nie słucham jej uważnie, a ona to dostrzega. Wiele razy ją przepraszam, kiedy dociera do mnie, że zadała jakieś pytanie, którego nie usłyszałam, i czeka na odpowiedź, ale przecież moja córka jest przyzwyczajona do tych moich nieobecności. Mówi „nic nie szkodzi, mamó” i wstaje. Wiem, że cierpi, kiedy taka jestem, wymykająca się i półprzezroczysta, kiedy zachowuję się tak, jakby moje życie było gdzieś indziej, w moich książkach, a nie tutaj i teraz.

Kiedy miała dwanaście lat, podpaliła mój maszynopis. To nie był wypadek, zrobiła to z rozmysłem. Włożyła go do zlewu i podpaliła długimi zapalkami do kominka. Czekala, aż papier zajmie się ogniem do połowy, po czym odkręciła kran. Kiedy wróciłam do domu, powiedziała po prostu: „Spaliłam twoją książkę”. Poczułam, że ścina mi się krew w żyłach, a serce podchodzi do gardła. Zacisnęłam pięści, krzyk, krzyk wściekłości i rozpacz, zaraz zacznę wrzeszczeć. Ale Anna nie ruszała się z miejsca, stała z rękami z tyłu, jakby czekała na karę, miała szeroko otwarte oczy, była nieulekła, odważna, bezczelna. Nagle zaczęłam się bardzo o nią martwić, zwykle przecież jest taka grzeczna, a tu zniszczyła coś tak mi drogiego. Byłam bezsilna i miałam poczucie winy z powodu jej strachu, że moje książki zajmą jej miejsce. Objęłam ją i mocno przytuliłam. Potem bardziej uważałam, starałam się być w domu, kiedy wracała ze szkoły, spędzałam z nią więcej czasu, planowałam zajęcia na weekend, ale wydaje mi się, że moje towarzystwo ją znużyło. Zapisaliśmy nas na kurs tańca współczesnego, ale Anna niechętnie tam chodziła,

najwyraźniej nudziła się w tych lustrzanych salach, gdzie kobiety ciągle mają poczucie, że są jeszcze w stanie uwodzić. Bardzo jej ulżyło, kiedy przestałyśmy tam chodzić, i nie narzekała już, że zbyt wiele czasu poświęcam książkom. Ale to nie znaczy, że mi wybaczyła.

Anna przeczytała moją pierwszą powieść, *Niepotrzebna*, którą napisałam, kiedy jeszcze byłam w ciąży. Książka opowiada o podróży pociągiem dwojga staruszków, którzy postanowili się rozwieść po pięćdziesięciu latach wspólnego życia. Tak sobie, bez specjalnego powodu. Nie kłócili się, nie mieli dzieci, przez cały czas tylko pracowali. Była to para drobnych ludzi, zniszczonych artrozą, zeszywniałych, trochę głuchych, ale rozstanie się było dla nich zapowiedzią całkiem nowego życia. Anna przeczytała tę książkę, kiedy była dorastającą panienką, i od tego czasu do niczego więcej mojego nie zajrzała. Uważała, że historia staruszków, którzy rozstają się bez powodu, jest smutna, a zawsze myślała, że zestarzeć się razem to najwspanialsza rzecz w życiu.

Rano w dniu ślubu, kiedy Anna jeszcze śpi, a ja przeciskam się między paczkami nadchodzącymi od kilku dni – prezenty od nieujarzmionych, którzy nie chcą respektować listy ślubnej – myślę o tym, co powiedziała, kiedy miała piętnaście lat: „Zestarzeć się razem to najwspanialsza rzecz w życiu”. Myślę sobie, że tego właśnie dzisiaj jej będę życzyć, chociaż pęka mi serce i sędzę, że właśnie odwaga, by rozstać się na starość, czyni życie wspaniałym. Tak powiem: że życzę jej, by zestarzała się ze swoim mężem komornikiem. I tak jak mój bohater Robin nagle poczułam strach, że to życzenie się zrealizuje, do moich drzwi zapuka policjant i oskarży mnie o to, że życzyłam im wspólnego życia na wieczność, uwiązania w życiu i śmierci.



Wypróbowałam wszystkie możliwe ekspresy do kawy, żeby zrobić przyjemność mojej córce. Włoskie, tureckie, tradycyjne, takie, które hałasują jak w kawiarniach, takie, które są zautomatyzowane i można je zaprogramować kilka dni wcześniej... Ale nigdy nie wyszła mi ciemna pianka, którą Anna tak lubi. Zastanawiam się, czy to właśnie nie jest to, co ona najbardziej lubi w kawie, taki matowy ciemnawy kożuch. Alain kupił jej na dwudzieste trzecie urodziny ekspres z główką jakiejś pozaziemskiej istoty, wystarczy tylko włożyć pod kapelusz niewielką kapsułkę, nacisnąć rączkę i natychmiast do filiżanki spływa wspaniała spieniona kawa. Anna była zachwycona. O każdej porze dnia i nocy słyszałam syk i cały dom wypełniał się zapachem kawy. Bardzo lubię ten zapach, chociaż sama nigdy kawy nie piję. Jest wiele rzeczy, które lubię wąchać, mieć, ale nigdy ich nie używam, nawet nie tykam. Rum, cygaro, benzyna, farba, spocony mężczyzna w autobusie, nieco odrażający zapach Saony w letnie dni. Kiedy mieszkałam jeszcze w domu, tam, po drugiej stronie Afryki, lubiłam słodko-gorzki zapach drzewa chlebowego, przykładając twarz do chropowatego pnia, głęboko wdychałam, wdychałam aż do chwili, gdy wydało mi się, że drzewo przestało już pachnieć, że wszystko wchłonęłam. Lubiałam cierpki zapach rumu u kobiet na targu, zapach zjełczałej szminki mojej starej ciotki, angielskiego pudru do twarzy matki, mydełka pachnącego jabłkiem, rozciągliwej gumy w paski pachnącej pomarańczą, którą skubałam zębami, a potem wypluwałam. Od tego czasu pomarańcza przywodzi mi na myśl szkołę, chłodne poranki na wyżynach, gdzie mieszkali moi rodzice, ciężki plecak wypełniony książkami i zeszytami,

od którego miałam ślady na ramionach. Pomarańcza przypomina mi moje dzieciństwo jakże odległe, niemal nierzeczywiste. Pomarańcza budzi wspomnienie wielkiego betonowego podwórka, murów poczerniałych od deszczu, biegów w kółko po szkolnym podwórku bez huśtawki, bez placu zabaw. Krzyki, jakie wydawaliśmy, kiedy dzwoniono na przerwę, i milczenie, gdy anonsowano powrót na lekcje. Nasze żołądki, które o określonej godzinie burczały z głodu i pragnienia, żołądki funkcjonujące zgodnie z odruchem Pawłowa. Punkt dziesiąta ustawialiśmy się rzędem na szkolnym podwórku. Piliśmy mleko z aluminiowych beczek, nabierane chochlą. Mleko wodniste i bez smaku. Każdy dostawał też – dzięki międzynarodowej organizacji, byliśmy przecież dziećmi z Trzeciego Świata – suszone gruszki, twarde jak czerstwy chleb, czarne jak granit, które w końcu pokonywały nasze mleczone zęby. Proteiny i witaminy, mówił nauczyciel.

Staliśmy w rzędzie, trzymając w jednej ręce kubek mleka, w drugiej gruszkę, z białymi wąsami nad górną wargą, przeżuwając z trudem. Myśleliśmy, że wszystkie dzieci na świecie są takie jak my, grzeczne, bardzo grzeczne w swoich mundurkach, z namaszczeniem i wdzięcznością jedzą suszony owoc, który drapie podniebienie i łamie zęby, posłusznie piją mleko, które wywołuje mdłości. Myśleliśmy, że wszystkie dzieci są takie jak my, uległe, stworzone do uczenia się na pamięć tego, co jest w książkach, i do zdawania egzaminów.

O, słyszę, że Anna się budzi. Machinalnie się prostuję, jakbym ciągle miała jakiś ślad obawy wobec niej, lęk, że ujrzy mnie taką, jaka jestem: trochę leniwą, nieco melancholijną, troszeczkę postrzeloną. Przez chwilę zostaje jeszcze w swoim pokoju, w zupełnej ciszy, ale wiem, że ogląda

suknię. Może głaszcze ją koniuszkami palców, zadowolona, że ją ma, czuje ulgę, że to nie sen... Potem ziewa głośno „aaa”, co wywołuje mój śmiech. Kiedy wchodzi do kuchni, widzi, że się uśmiecham, i jest coś nieuchwytnego w jej twarzy, coś, czego nigdy przedtem nie widziałam. Jakaś tkliwość, pobłażliwość w stosunku do mnie, tak się patrzy na starszych ludzi, którzy poruszają się powoli, ale starają się nie stawać innym na drodze. Powiedziałam, że zrobiłabym jej kawę, ale spakowała już ekspres E. T. , tak go nazywam, ona odpowiada: „Nie szkodzi, mam, dzisiaj wypiję herbatę”. Siada na taborecie, łokcie opiera na stole, z tymi włosami wygląda jak dziecko, mam wrażenie, że widzę siebie w wieku dwudziestu lat. Odwracam się więc i przystępuję do rytuału.

Gliniany czajniczek z Japonii, ciężki, czarny, gładki jak kamień latami gładzony przez fale, woda mineralna tylko zagotowana, nie wrząca. Herbata od Noel Mariage Freres, mieszanka czarnej ze skórką pomarańczową, odrobiną cynamonu i szczyptą róży. Wyparzam czajniczek. Na dwie łyżeczki herbaty wlewam zagotowaną wodę. Wyjmuję dwie filiżanki z błękitnej porcelany, z cienkimi kruchymi uszkami, które dostałam od Matthew, ojca Anny, ale tego jej nie powiedziałam.

– Nigdy dotąd nie używałaś tych filiżanek, mammo.

– Nie. Są takie kruche. Boję się, że się stłuką. Ale dzisiaj to co innego.

– Są piękne. Gdzie je kupiłaś?

– W Notting Hill, dwadzieścia trzy lata temu, w sklepie pewnego Anglika, który mówił po francusku. Miał pełno staroci, wiesz, koronek, pasków, zabrudzonych klejnotów, fotografii w sepii, na których nic nie było widać, a na stole stojącym na zewnątrz, wśród innych staroci, te

filizanki, trzy sztuki.

– Kupiłaś tylko dwie?

– Nie, osoba, która była ze mną, kupiła trzecią.

– Kto to był?

W tym momencie stwierdzam, że już najwyższy czas podać herbatę, delikatnie stawiam filizankę przed córką, ostrożnie wlewam ciepły płyn o pięknej ciemnopomarańczowej barwie, kolor herbaty jest bardzo ważny. Anna patrzy, jak się krzątam, zapomniała już o swoim pytaniu. Ale ja nie zapomniałam, dlatego trochę drzę. Nalewam także sobie. Potem wsuwam palec wskazujący w uszko filizanki, tak jak kiedyś w szlufkę spodni Matthew, podaję filizankę córce i mówię: „Twoje zdrowie, żebyście mogli się razem zestarzeć, ty i Alain”. Oczy Anny zachodzą mgłą, dziewczyna trochę drży, może z powodu małego otworu między uszkiem a samą filizanką, a może z emocji; podnosi drugą rękę, żeby podtrzymać filizankę, mówi: „Twoje zdrowie, mamo, dziękuję”, i spokojnie pijemy herbatę w filizankach z angielskiej przeszłości.

Kiedy miałam osiemnaście lat, spędziłam dziewięć miesięcy w Londynie, pracując jako kelnerka w gejowskim barze. Chciałam zrobić sobie przerwę, z dala od studiów w Paryżu. Pragnęłam zmienić otoczenie, wtedy niczego się nie bałam. Co rano budziłam się z uczuciem oczekiwania, z drzeniem serca, tak jakby miało się coś wydarzyć, może nawet szczęście. Były we mnie odwaga, zapał i przekonanie, że każdy dzień przyniesie pewną porcję niespodzianek, dobrych, na pewno dobrych. Młodość nie jest wystarczającym usprawiedliwieniem tylu złudzeń, tylu oczekiwań, tego pełnego pychy poczucia, że wszystko jest możliwe i że nie istnieje żadne wytłumaczenie dla niesprawiedliwości czy nieszczęścia.

W barze ludzie koncentrowali swoją egzystencję przy dwóch, trzech kieliszkach, mieli chwilę wytchnienia od swego pełnego zakłamania życia. Tutaj nie musieli udawać heteroseksualnych, *straight*, jak mówią Anglicy, „poprawnych”, żyjących poprawnie. To nie było jeszcze dzisiejsze Soho, mężczyźni nie mieli odwagi trzymać się za ręce w miejscach publicznych, prawie w ogóle nie mówiono o AIDS. Ja rozmawiałam o tym z Virginią, moją angielską przyjaciółką, którą spotkałam na Sorbonie. Jej brat był gejem, trzy lata temu zmarł na AIDS. Jamie to chyba jeden z piękniejszych chłopców, jakich widziałam w życiu. Mężczyźni i kobiety patrzyli na niego z takim samym podziwem, oczarowaniem, a często i pożądaniem. O jego urodzie stanowiła nie delikatność rysów, lecz ich harmonia. Pełne usta, prosty nos, jakby wyrzeźbiony, nieco ostry, policzki, niesamowite policzki, które zaokrąglały się w uśmiechu, pięknie zarysowane brwi, długie rzęsy, szarzielone oczy, a przede wszystkim ciężkie powieki, skrywające zazwyczaj oczy zaczerwienione, zmęczone, niewyspane. Ale u niego było inaczej, to właśnie sprawiało wrażenie nieprzystępności, jaką nadaje uroda i pewna tajemniczość. Powieki starca na twarzy greckiego boga. Kiedy dowiedziałam się o jego śmierci, zastanawiałam się, co zrobiły z tej twarzy wiek, alkohol, narkotyki, a przede wszystkim choroba. Czy pozostawiły przynajmniej trochę owej iskry, czy wszystko pochłonęły, wyssały?

Virginia nadal mieszka w Yorkshire z psami, mężem amatorem polowania z nagonką i trójką dzieci, różowych blondyneków, jak małe prosiaczki. A przecież to była najbardziej szalona dziewczyna, którą znałam. Raz na miesiąc chodziła do któregoś ze zwariowanych fryzjerów w tanich dzielnicach Londynu – fryzjerów-artystów, zwracała mi uwagę –

skąd wychodziła z włosami we wszystkich kolorach tęczy, oczywiście wściekła. Nigdy nie odmawiała skręta i sędzę, że od czasu do czasu próbowała kokainy. Ja zadowalałam się kelnerowaniem, patrzyłam na całujących się i ocierających o siebie mężczyzn, czułam się wolna i bezpieczna w tym świecie, w którym nie istniałam jako kobieta. Mogłam marzyć, pisać, ile chciałam, bo nikt ode mnie niczego nie wymagał. Byłam wolna, tak, myślę, że to właśnie jest to uczucie, jakie towarzyszyło mi każdego ranka po przebudzeniu.

Wstawałam około dziewiątej, pisałam co najmniej pięćset słów i to był jedyny przymus moich dni, jedyne, co sobie narzucałam podczas tych miesięcy spędzonych w Londynie. Potem już robiłam, co chciałam. Spacer, kino, lektura na ławce w parku, przejażdżki autobusem na chybił trafił, naprawdę robiłam, co tylko mi się zamarzyło.

W księgarni na tyłach British Museum spotkałam Matthew. Szukał czegoś o Afryce, powtarzał to sprzedawcy, który kazał mu się porozglądać. Przeszedł obok mnie, uśmiechnęłam się, powiedział po angielsku, że niektórzy księgarze powinni się znaleźć po drugiej stronie, i wskazywał na muzeum. Znowu się uśmiechnęłam. Poszedł w stronę drzwi, po chwili się odwrócił i zaprosił mnie na *Irish coffee*, pierwszego dnia tak to właśnie powiedział: *Wouldyou fancyan Insh coffeel* Nawet się specjalnie nie zdziwiłam, kawa z odrobiną whisky na pierwszej randce, czy Anna w ogóle wie, co to jest *Insh coffee*.

Usiedliśmy w pubie nieopodal Picadilly, dobrze pamiętam kłujące igielki w głowie, gdy zbyt pośpiesznie wypiliśmy pierwszy łyk *Insh coffee*. Siedzieliśmy, rozmawiając, żartując, aż nadeszła pora, gdy musiałam pójść do pracy. Matthew spytał, czy wpuszczamy tam heteroseksualnych, i przez

cały wieczór sterczał przy barze, taktownie odpierając wszelkie propozycje.

Matthew mówił czasami: *I'm with the lady*, co głupio przypominało mi zdanie JFK: *I'm the man with Jacky*.

Przychodził co wieczór przez trzy tygodnie, rozmawialiśmy głośno ze względu na muzykę, nie zawsze się rozumieliśmy, co bardzo nas śmieszyło – rozmawiać głośno, nie rozumieć się, przebywać w miejscu nielegalnej miłości, a jednak nie chcieć niczego w tym zmienić. Pierwszy raz całowaliśmy się w czasie piosenki *Those Were the Days*, tak zwyczajnie, nasze ciała pochyliły się nad barem, tylko twarze się stykały. Wieczorem poszliśmy do niego i kochaliśmy się, słuchając Niny Simone. Matthew był studentem dziennikarstwa i chciał wyjechać do Afryki. To był jego cel, wyjechać tam, gdzie wszystko się zaczęło, mówił. Powiedziałam mu, że trochę piszę. Uniósł się na łokciu, zabłysły mu oczy i powiedział, że od razu poczuł, że nie jestem zwyczajną dziewczyną. *Not a common girl*. Nigdy nie usłyszałam tak miłego komplementu. Potem zostałam u niego na noc. Rano szedł na wykłady, a ja pisałam w dużym szkolnym zeszycie aż do czternastej, później spacerowałam albo czytałam. Szekspir, Woolf, Dickens, Bronte. Sami Anglicy, podczas gdy ja pisałam po francusku. Nie przeszkadzało mi to, wręcz przeciwnie. Ani jeden, ani drugi nie jest moim ojczystym językiem, nie ma tu konkurencji, zawsze pisałam po francusku, moja wyobraźnia funkcjonuje w tym języku, to nie jest kwestia wyboru. Około piątej szłam do baru, o ósmej przychodził tam Matthew. Wracaliśmy o pierwszej w nocy, jego ręka na moim ramieniu, mój palec wskazujący w szlufce jego spodni. Co dzień budziłam się z drżeniem serca, jeszcze zanim otworzyłam oczy, ale nie miałam już w

sobie tego spokoju, tego przyjemnego, okropnego spokoju, jaki otaczał mnie przedtem. Dni szybko mijały, coraz bardziej odczuwałam przyspieszenie czasu i nie mogłam nic na to poradzić.

Ponad dwadzieścia lat później ciągle mam w pamięci jego blade ciało i setki pokrywających je pieprzyków. Na plecach niemal cała konstelacja. Spędzałam długi czas na śledzeniu drogi gwiazd na jego skórze, na głaskaniu nieco większych znamion, na całowaniu tych, które odkrywałam, i tych, które odkrywałam po raz drugi. Cierpliwie to znosił, zasypiał pod moim dotykiem. Czasami, gdy szliśmy razem, myślałam, że jestem jedyną osobą, która wie o gwiazdach pokrywających jego ciało, i przepełniało mnie to ogromną dumą.

Matthew nie za bardzo znał francuski, ale słuchał, gdy czytałam na głos swoje teksty. Siadał na podłodze plecami do ściany, ze skrzyżowanymi rękami, wyciągniętymi nogami, i słuchał. Czasem, nie wiem, z jakiego powodu, wydawał się wzruszony, mówił, że melodia słów jest smutna, wtedy przysuwał się do mnie, kładł mi głowę na kolanach i mówiliśmy sobie najważniejsze słowa na świecie. Kochaliśmy się w sposób jak najbardziej szczery, autentyczny.

Przez chwilę zdawało mi się, że mogłabym tak spędzić życie, w tym jego niemal pustym mieszkaniu. Że nie będę zmęczona warsztatem samochodowym na dole ani metrem, które przejeżdża tuż obok, aż ziemia drży, że nie będzie mi brakować mojego kraju, że nigdy nie będę odczuwać przygnębienia z powodu ciężkich chmur i londyńskiego deszczu. Ale nie miałam wiele czasu, żeby o tym myśleć, żeby schronić się w tym niepewnym szczęściu i nieustannie je przeżywać.

Matthew wygrał konkurs dla młodych dziennikarzy, ogłoszony przez



czasopismo publikujące reportaże, i w końcu wyjechał do Afryki. Tak jak na to, że czas coraz szybciej mija, i tu nie mogliśmy nic poradzić.

Pewnej niedzieli poszliśmy do Notting Hill i tam właśnie kupił trzy filiżanki. Następnego dnia wyjeżdżał do Mali. „Bamako” powtarzał do znudzenia, za każdym razem innym tonem, z wszelką możliwą modulacją, tak jakby rozkoszował się czymś nadzwyczajnie dobrym. Nie było mi smutno. Dlaczego miałyby być smutno, skoro mężczyzna, którego kocham, doświadczy wreszcie tego, czego pragnął ponad wszystko? Spokojnie wróciliśmy do domu, z trzema filiżankami w mojej płóciennej torbie, jego ręką na moim ramieniu, moim palcem w szlufce jego spodni, tak jakby nigdy nic, tak jakby jutro miało być dniem takim samym jak inne, jakbyśmy mieli dalej żyć naszą rozkoszną rutyną. W domu kochaliśmy się cicho, w milczeniu. Potem długo błądziłam po jego ciele usianym gwiazdami, bo jeśli miałam coś zapamiętać, to właśnie to, te tysiące znamion, które były dla niego jakby drugą, boską, skórą.

Gdy dzisiaj, ponad dwadzieścia lat później, przymykam oczy, widzę jego plecy i te wszystkie ciemne kropki, czarne, niekiedy koloru rdzy. Pamiętam tę największą, pod lewą łopatką, i inną, mniej lub bardziej czerwoną, zależnie od dnia, na prawym pośladku. Pamiętam pasemko małych kropek, jak okrągłe goniące się zwierzątka, nieco na prawo pod ramieniem. Pamiętam też moją rękę, młodą, śniadą, i moje palce na jego wspaniałych plecach. Nazajutrz wypiliśmy herbatę z naszych porcelanowych filiżanek, obiecaliśmy sobie, że będziemy żyć. Nina Simone śpiewała *My Way*.

*And now, the end is near, so I face the final curtain.*

– Będiesz dalej pisać, prawda? Postarasz się to wydawać, żebym mógł

odnaleźć twój ślad...

– Tak.

Nie obiecywaliśmy sobie, że się spotkamy, że będziemy do siebie pisać, dzwonić, nawzajem o wszystkim informować i takie tam rzeczy, z których przeważnie rodzi się żal i frustracje. Wziął jedną filiżankę, i tyle. Jego obraz, jaki pozostał mi w pamięci, to widok młodego mężczyzny o smutnych oczach, który przez okno mówi mi „do widzenia”. Ja, która tak bardzo lubiłam Londyn, to miasto, gdzie na jednym chodniku można spotkać idącego punka, rudą mieszczkę w kostiumiku, biznesmena, kobietę z Indii w sari i Szkota w kilcie, ja, która zachwycałam się wiatrem, trawą, jedynym w swoim rodzaju błękitem nieba w pogodne dni, nie mogłam tu pozostać.

A jednak nie bardzo płakałam. Wiedziałam, że przeżyłam początek czegoś, czego i mężczyźni, i kobiety szukają nieraz przez całe życie. Czasem myślę, że może lepiej by było wcale tego nie przeżyć, wtedy nie poszukiwałabym spokoju ducha, tej równowagi, tej pogody połączonej z uczuciem za każdym razem, gdy spotykałam mężczyznę. To tak jakby dano mi do skosztowania najsmaczniejszy owoc świata, ale miałabym prawo tylko do jednego kęsa.

Wróciłam do Francji, do Paryża, do pokoiku na poddaszu, i tutaj na początku lata zorientowałam się, że jestem w ciąży. Nawet nie pomyślałam o aborcji. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby odnaleźć Matthew i powiedzieć mu o tym. Moi rodzice byli załamani, zmartwieni, godzinami ze mną rozmawiali, próbując przemówić mi do rozsądku, kreśląc ponurą przyszłość samotnej matki, ale ja nikogo nie słuchałam. Anna urodziła się w lutym, w samym środku zimy. Pamiętam, jak

pierwszy raz trzymałam ją w ramionach. Patrzyłam na jej ciało i dojrzałam znamię, które wywołało we mnie coś w rodzaju fali miłości; być może to właśnie jest instynkt macierzyński, jak mówią. Tak intensywnie pomyślałam o Matthew, że w pewnym momencie wydało mi się, iż jest przy mnie, poczułam jego zapach, wiedziałam, że to niemożliwe, że to pewnie zmęczenie każe mi tak myśleć, niemniej nie czułam się sama, kiedy po raz pierwszy trzymałam Annę w ramionach.

Miałam zaledwie dwadzieścia lat, kiedy urodziła się moja córka. Gdy dziś o tym myślę, odczuwam retrospektywny lęk, który zapiera mi dech. Przez cały pierwszy rok żałowałam, że donosiłam tę ciążę. Zwykle mówi się, że matka wszystko wie, ale ja nie wiedziałam. Często płakałam razem z nią, bo nie wiedziałam, co i jak robić, czasem byłam beznadziejnie samotna, ze zmęczenia zasypiałam na siedząco z Anną na rękę, z piersią w jej buzi. Czy robiłam coś za dużo czy za mało? Czy powtarzające się czynności szczerze wypełniające cały dzień, nakarmić, przewinąć, wykapać... , czy to wszystko wystarczy, by dowiedziała się, że ją kocham? Czy może potrzeba czegoś jeszcze?

Dzisiaj, kiedy czytam artykuły o *baby blues*, depresji poporodowej, jestem całym sercem z tymi kobietami, bo sama doświadczyłam bezradności wobec dziecka. Tej dziury, która jakby pochłania cię po zapadnięciu mroku, kiedy panuje cisza, a dziecko nareszcie zasnęło. Własne ciało staje się jakieś obce, myjesz je, nic nie czując, nieustanna ocieężałość, odcięcie się od wszystkiego, brak zainteresowania czymkolwiek innym niż dziecko i pretensje, jakie o to do niego masz.

A jednak te wszystkie rozczarowania, płacze, nieustanne wątpliwości natychmiast znikwały, kiedy Anna się do mnie uśmiechała. Wtedy, i tylko

wtedy, cały kierat domowy nabierał sensu.

Przerwałam studia, ale bardzo szybko znalazłam pracę korektorki w piśmie kobiecym. „Świat kobiety” ukazywał się w czwartki. Lata osiemdziesiąte, Paryż, wtedy dobrze było być kobietą. Dziewczyny w redakcji okazały się sympatyczne, naczelna mnie lubiła, samotna matka w kobiecym piśmie to brzmiało dość wojujące. Oddawałam Annę do żłobka od trzeciego miesiąca jej życia, wystąpiłam o francuskie obywatelstwo, które bez trudu dostałam, i pewnego grudniowego dnia 1982 roku, trzy dni przed Bożym Narodzeniem, kiedy moja córka spała mi na rękach, a ja zastanawiałam się, czy w jej wieku święta mają jakieś znaczenie, zadzwonił telefon, jakiś mężczyzna powiedział: „Dzień dobry pani, nazywam się Yves Laurent, z wydawnictwa Laurent, chciałbym rozmawiać z Sonią”. Serce mi podskoczyło do gardła, co obudziło Annę śpiącą przy mojej lewej piersi. Wysłałam rękopis, podpisałam tylko imieniem, niżej podałam numer telefonu. Sporo czasu spędziłam nad stroną tytułową, kilkakrotnie pisałam na brudno i w końcu na czystej stronie umieściłam tytuł: *Niepotrzebna*. Pomyślałam, że dobrze jest dodać pod spodem „powieść”, a niżej imię i numer telefonu. To zupełnie jak karta więźnia, imię i obok numer. Yves Laurent miał aktorski głos, niski, głęboki, mówił spokojnym pewnym tonem. Dwa dni później podpisałam umowę. Pamiętam ten miękki ciepły kokon, jaki otaczał mnie całą przez kilka tygodni. Obawa, aby to nie był sen, i nieustannie powracająca radość, gdy uświadamiałam sobie, że to nie sen, że przeczytano moją powieść, doceniono ją, niebawem będzie w księgarniach.

Yves ciągle jest moim wydawcą. Ma teraz sześćdziesiąt pięć lat i zaraz pojawi się na ślubie Anny. Spośród wszystkich moich przyjaciół jest jedną

z niewielu osób, do których Anna jest bardzo przywiązana. Dobrze się z nim czuje, mają taką wspólną zabawę: w sympatyczny sposób żartują z siebie nawzajem. Anna nazywa go Rastapopoulos, nigdy nie dowiedziałam się dlaczego, nie wiem, co on ma wspólnego z tym brzydkim prostackim łobuziakiem z książeczek o Tintinie, ale Yves'a to śmieszy i w zamian mówi na nią Castafiore. Też nie wiem dlaczego. Zaczęli nazywać się tymi imionami pod koniec pobytu Anny w Bretanii, u Yves'a i jego żony, Caroline. Może przed zaśnięciem czytali jej *Tintina*, oni, którzy nie mają dzieci? Przewiska były elementem ich bliskiej zażyłości, w którą mnie nie włączali, i tak było lepiej.

Dziś po południu właśnie Yves poprowadzi ją do ołtarza. Poprosiła go o to w liście cztery miesiące temu. Byłam smutna i zadowolona zarazem, miałam nadzieję, że zwróci się z tym do mnie, to się zdarza, że matka prowadzi córkę do ślubu, ale Anna na pewno by uważała, że to „śmieszne”. Pomyślałam o Matthew, zastanawiałam się, gdzie będzie, kiedy ktoś inny poda rękę jego córce, całej w bieli, ale w końcu to nie ma najmniejszego znaczenia. Yves jest doskonały.

Anna powoli pije herbatę, jak to możliwe, że jest taka spokojna w dzień swojego ślubu, nieporuszona pomimo jego wielkiej wagi, nowych zobowiązań, oczekiwania na wspólne życie, być może dzieci, moje nazwisko, które wykreśliła, i to nowe, które będzie nosić, Anna Beauvrieu. Bardzo uroczyście oświadczyła, że przyjęcie nazwiska męża jest dowodem miłości. Od pewnego czasu można by pomyśleć, że to ona jest matka, że uczy mnie i przekazuje ideał rodziny, tradycyjnych trwałych wartości... Tak jakby zyskała nowy status, pozycję kobiety zameężnej, i tym samym stawała się lepsza ode mnie. Czasem jestem o krok od powiedzenia jej, że

człowiek całe życie dąży do wolności, aż w końcu, tak jak ona w swym małżeństwie, zamyka się przed tą wolnością. Że się myli, jeśli sądzi, że dzięki obrączce na palcu stanie się mądrzejsza, inteligentniejsza, silniejsza. Ale nauczyłam się już, że doświadczenie innych nigdy niczemu nie posłużyło. Zresztą sami zastanawiamy się nieraz, czy czegokolwiek się uczymy na własnych błędach.

Ludzie ciągle wygłaszają rozmaite banały, żywią śmieszne nadzieje, a wiadomo, że i tak połamią sobie zęby na rutynie, że życie we dwoje to nie to, że prawdziwe dowody miłości daje się na co dzień, a nie w przyjęciu nazwiska, że miłość to sztuka wybaczenia. Mnóstwo czasu poświęcają na wymyślanie sukni, ozdób, koronek, wysyłaniu pastelowych zawiadomień z wypukłymi kwiatkami, wydają pieniądze na czteropiętrowy tort i wyziębiony zamek – patrzy się na to wszystko w milczeniu i z uśmiechem. Więc kiedy moja córka wygłasza mi naukę o życiu, milczę i się uśmiecham.

Dzisiaj wszystko ma chodzić jak w zegarku, w zegarku sprintera, z chronometrem, tensometrem, barometrem. Przedwczoraj Anna przedstawiła mi program dnia. Dobrze mnie zna, wie, że w chwilach przestoju moje ciało i umysł jałowiejają, a potem umysł wypełnia się ludźmi, których historie chciałabym opisać, że pogrążam się w tym i gubię w plątaninie wymyślanych istnień. Nie chce, żebym nawet na chwilę zapomniała, że dzisiaj jest jej dzień, jej historia i że ta historia rozwinie się jak aksamitny dywan, na którym nie może być najmniejszej fałdki, nikt nie może się potknąć, nie ma tu miejsca na jakiegokolwiek wykręty, uniki, uchybienia czy luki, czyli wszystko to, co składa się na moje życie, co je wypełnia i co opisuję. Prosi, żebym dziś skoncentrowała się na niej, i to właśnie zrobię. Nie będę się opierać ani narzekać, postaram się z daleka omijać komputer, tekst, który właśnie poprawiam, listy, które powinnam napisać, odsunę na bok myśli snujące mi się po głowie.

O dziesiątej jestem umówiona u fryzjera, tak jak i ona. Punktualnie o dziesiątej, napisała w rozkładzie zajęć. Taksówka o dziewiątej trzydzieści, będziemy trochę wcześniej, ale to wszystko po to, żeby na dywanie nie było ani jednej fałdki. O pół do dwunastej samochód (prowadzony przez Erica, przyjaciela Alaina, który także wszystko zaprogramował) przyjedzie po nas i zawiezie nas do Ain, do zamku. Po drodze weźmiemy Yves'a, żebym tylko nie zapomniała ubrania, torebki, wszystkich swoich drobiazgów. Obiad zjemy o trzynastej w restauracji w Artemare, wszyscy troje, Anna, Yves i ja. O szesnastej odbędzie się ślub cywilny, zwykła formalność, jak powiedziała Anna, o siedemnastej trzydzieści ślub

kościelny na zamkowym dziedzińcu, a potem przyjęcie. Śpię w zamku, a nazajutrz wracam do domu punktualnie o jedenastej, odtąd już sama, więc będę mogła powrócić do mojego życia utkanego z drobiazgów i milczenia. Oto mój program.

Anna i Alain jutro wyjeżdżają do Wenecji jak tysiące młodych par przed nimi, przypominają mi się grupowe śluby w Korei – małe białe i czarne myszki na wielkim placu. Na ich miejscu pojechałabym do Timbaktu, ale nie jestem na ich miejscu, nie wiem, co to jest zamążpójście, miodowy miesiąc, który trwa cały długi tydzień poza czasem i rzeczywistością.

Właśnie ostrożnie zmywam błękitne filiżanki. Boję się, by myjąc je, nie stłuc kruchej porcelany, pilnuję, żeby woda była letnia, by nie popękały pod wpływem szoku termicznego. Gdj to robię, mam wrażenie, że Matthew do mnie wraca, że te dwadzieścia trzy lata bez niego to zaledwie dwadzieścia trzy godziny, i po raz pierwszy zastanawiam się, czy dobrze zrobiłam, że go nie szukałam, nie nalegałam, żeby ze mną został, może gdybym płakała, krzyczała, wrzeszczała „mój kochany”, może wtedy by został? Po raz pierwszy wyobraziłam sobie, że może umarł, że dawno już został pochowany, zapomniany, a ja przez ten cały czas żyję dalej, bez żadnych przeczuć, bez smutku, i moja córka osierocona przez ojca, a ja osierocona przez moją jedyną miłość. Trochę drzę, jestem o krok od stłuczenia filiżanek, bo za mocno je ściskam, więc szybko je płuczę, wycieram i odstawiam do szafki nad głową. Ten gest mnie uspokaja, upewnia, tak jakby był dowodem, że Matthew gdzieś żyje. Czy gdyby filiżanki się stłukły, miałabym pewność, że nie ma go już na tym świecie? Z wiekiem staję się przesadna. Chwytam się przypadków, to mi daje



spokój, w czasie upływających godzin wymyślam różne fetysze, w błękitne poranki – talizmany i mówię sobie, że nawałnica wypłucze wszystkie żale.

Anna jest w swoim pokoju, woła mnie, prosi, bym pomogła jej włożyć suknię do pokrowca, i to mi przypomina, że mam dla niej paczuszkę. Idę po pudełko, które opakowałam na czerwono, i podaję jej. Mówię: *Something old, something new, something borrowed and something blue*. Kiedy mówię do niej po angielsku, wie, że to coś ważnego, mamy taką niepisaną umowę, coś, co się wie, gdy mieszka się z drugą osobą przez długi czas. Anna siada na łóżku obok sukni, którą zdjęła z wieszaka, w miejscu, gdzie spódnica styka się z podłogą, robi się głębokie zagniecenie, być może zostanie po nim ślad i Anna się zdenerwuje, ale na razie przez dłuższą chwilę trzyma paczuszkę w ręku. Dziękuje mi cicho, lekko wzdychając. Rozpakowuje z namaszczeniem, szukając paznokciem końca taśmy klejącej, który delikatnie oderwie. Najpierw jej wzrok pada na starą muślinową chusteczkę, leciutko pożółkłą od upływu lat. Mówię, że dostałam ją od mojej matki, ona mówi „babcia potworzyca”?

Moja matka zmarła, kiedy Anna miała pięć lat, nigdy się nie widziały. Kiedy córka miała dziesięć lat, podarowałam jej w połowie wypełniony album ze zdjęciami, gdzie były fotografie mojej rodziny, a pod zdjęciem matki z czasów młodości – uciekające spojrzenie, tak jak u mnie, oczy niepatrzące w obiektyw – Anna napisała „babcia potworzyca”. W tym czasie czytywałyśmy na głos bajki, ja zawsze byłam straszydłem, wilkiem, smokiem, potworem i potworzyca, złą macochą. Śmieszyło mnie to, bo myślę, że Anna i moja matka dobrze by się rozumiały. Obie były solidne, prawe; matka lubiła, żeby wszystko było zrobione jak należy, według

ustalonych reguł, tak jak Anna. Matka była osobą odważną, z nigdy niezrealizowanymi marzeniami i dwojgiem niewdzięcznych dzieci.

Anna wyjmuję bransoletkę, ja mówię: „To ma znaczyć «wróć»„, a ona śmieje się jak mała dziewczynka. Wsuwa żółto-niebieską bransoletkę na rękę, przez chwilę zostawia ją na przegubie, na matowej delikatnej skórze, a ja mam ochotę uścisnąć jej nadgarstek, tu, dokładnie w tym miejscu, gdzie odciska się bransoletka, którą nosiłam całe życie. Potem wyjmuję majteczki i szepcze „mamo”, trochę zażenowana, ale rozbawiona. Trochę się czerwieni, tak mi się zdaje. Na dnie pudełka czeka jeszcze beżowe etui. Kiedy Anna dostrzega dwa małe kolczyki, lekko drżą jej ramiona, co budzi mój niepokój. Płacze. Drobne łzy ciekną po policzkach. Klękam przed nią, dotykam wargami słonych łez i przez chwilę nasze ciała się łączą, tak jak wtedy, gdy była u mnie w brzuchu. Ochraniam ją, bez niej nie istnieję; przez moment nie chcę, by odeszła, chciałabym, żeby była małą dziewczynką, pochyloną nad zeszytami Clairefontaine, zadającą tysiące pytań, pewną, że matka na wszystko znajdzie odpowiedź. Chciałabym powrócić do czasu, kiedy darzyła mnie absolutną ufnością, patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, z ciekawością spijała z warg słowa, ani przez chwilę nie wątpiła w to, co mówię.

Z córką w ramionach, moją dorosłą córką, wkrótce mężatką, czuję się stara, pomarszczona, pokonana, niemodna. Do czego teraz będę potrzebna? Anna uwalnia się z moich objęć i razem wkładamy suknię do szarego pokrowca. „Trzeba będzie ją odprasować”, mówi. Stoimy chwilę przed pokrowcem, w którym jest biała suknia, tak jakby miało nie być żadnego ślubu. Od tygodnia patrzyłam na tę wiszącą suknię, wszystko działo się wokół niej, uważać, nie dotykać, nic nie mówić, żeby jej nie

niepokoić, relikwia, idol, statua, była tym wszystkim naraz, a teraz suchy trzask zamka błyskawicznego i sukni nie ma. Anna wyczuwa moją niepewność, patrzy na zegarek i mówi: „Spóźnimy się”. To jej ulubione zdanie, wypowiada je przy każdej okazji, żeby coś się działo, żeby był jakiś ruch. Odpowiadam to, co zwykle mówię w takich przypadkach, „ależ nie, ależ nie” i wtedy dzwoni telefon. To Alain. Ma spokojny głos, pyta, jak się czuję, chcę mu odpowiedzieć, ale Anna staje przede mną i gestami pokazuje, żebym oddała jej słuchawkę, i to szybko. Mówię więc: „Daję Annę, do zobaczenia, Alain”. Ona szepcze coś do telefonu, słyszę jej śmiech, westchnienie, mówi, że już niedługo, za chwilę ceremonia, i w jej głosie słyszę radosne oczekiwanie. Pod koniec rozmowy mówi „ja też”. Co ja też? Ja też cię kocham? Ja też cię całuję? Ja też chcę zawsze być z tobą? Ja też tęsknię? Ja też chcę, żeby to odbyło się jak najszybciej? Ja też się boję?

W moim pokoju wszystko już czeka spakowane; kiedy Anna bierze prysznic, dzwonię po taksówkę. Muszę wybrać mnóstwo cyfr, teraz zajmują się tym komputery, telefony dzwonią w próżnię, roboty bez rąk odbierają i każą nam, jak idiotom, bębnić palcami po klawiszach. Przy najdrobniejszej pomyłce okazuje się, że zamówiłeś taksówkę do Vesoul lub Saint-Pierredes-Corps. Po chwili intensywnego skupienia, po wybraniu wielu numerów i symboli – gwiazdek i krzyżyków – głos o śmiesznej intonacji mówi, że taksówka przyjedzie za pół godziny pod adres rue des Archers 46, niebieski mercedes, a ja mogę już odłożyć słuchawkę.

A jeśli nie odłożę? Jeśli dalej będę naciskać cyfry, doprowadzając ich do szału? Czym ryzykuję? Nagle za mną staje Anna i pokazuje, że łazienka jest wolna, więc muszę odłożyć słuchawkę. Tensometr, barometr,

chronometr, nie ma czasu na zabawę z robotami.

Niebieski mercedes przyjechał punktualnie, w pięć minut dojeżdżamy do salonu fryzjerskiego. Jacques Dessange, „szyk w sam raz na dzisiejszy dzień”, mówi Anna. Prawie nigdy nie chodzę do fryzjera, mam długie włosy, przyzwyczałam się, że opadają mi na ramiona, że czuję na karku ich ciężar. Głaszczą mnie, kiedy jestem sama, wybijają rytm moich kroków, kiedy są splecione w warkocz, czasem się za nimi chowam, to taki mój sposób udawania strusia.

Ten wytworny salon fryzjerski mieści się przy ulicy Saint-Antoine. Na szklanych półeczkach ustawione są szampony jak jakieś cenne klejnoty, nektary, magiczne płyny, które zapewniają wieczną młodość, graale po trzydzieści euro sztuka. Wszędzie lustra, nie można się przed sobą ukryć. Witają nas bardzo jasne blondynki, mocno umalowane, szatnia, kawa, woda, co pani sobie życzy. „Można dostać *Irish coffee*². „. Tak mi się powiedziało, jak czkawka, sama jestem zaskoczona. Anna robi wielkie oczy, upsss, moja pierwsza gafa tego dnia. Odpowiada nieco podniesionym głosem: „Poprosimy kawę i herbatę”. Młody blondyn sadza nas w czarnych dentystycznych fotelach, wysokich, przechylanych o sto osiemdziesiąt stopni, i zaczyna przyglądać się włosom mojej córki. Mówi „jestem Jeremy”, głosem łagodnym, tak jakbyśmy odtąd miały tak się do niego zwracać, tak jakby dotykając naszych włosów i mówiąc słodkim niczym miód głosem, stał się nagle kimś bardzo bliskim, bez kogo nie można się obejść.

Moja córka wybrała pakiet panny młodej: kok, kwiatki, kręcone kosmyki, zamierzona elegancka niedbałość. Ja wolałabym zostawić włosy rozpuszczone, ale Anna naciska, żebym też miała kok, nisko na szyi. Daje

wskazówki blondynkowi, robi szerokie gesty, pokazując, jak by chciała widzieć swoją matkę. Jeremy (no i proszę, stało się, mówię o nim Jeremy) przystaje na to, bierze w rękę moje włosy, waży je w dłoni, całkowicie się z nią zgadza, absolutnie, muszę mieć mieszczański koczek.

Dwie panienki zmieniają Jeremy'ego: jedna myje włosy, druga strzyże. Pochylając się do nas, Jeremy mówi: „Muszę panie opuścić na chwileczkę, dobrze?”. Co by właściwie zrobił, gdybyśmy zaczęły płakać i błagać go, żeby z nami został i trzymał nas za rękę?

Dziewczyny rozmawiają o wypadku, który miał miejsce dziś rano. Barka władowała się w podziemny parking, który ciągnie się wzdłuż bulwaru Saint-Antoine. Pierwszy poziom został całkiem zalany, uszkodzone samochody, co tam się działo. „Zrobiła się ogromna dziura”, powiedziała jedna z dziewcząt. Już widzę minę agenta ubezpieczeniowego czytającego protokół: „Samochód zgnieciony przez barkę w podziemnym parkingu”. Tak, dokładnie tak.

Blondynki chcą nawiązać z nami rozmowę, ale my pozostajemy nieporuszone jak gład, hermetyczne. Anna odpowiada jedynie onomatopejami. „To pani ślub? – Mhmm. – Cieszy się pani? – Mhmm. – Odbędzie się w Lyonie? – Nn... – To pani mama? – Mhmm. – Obydwie jesteście piękne! – Dziękuję...”. Blondynki na pewno nas przeklinają, nie ma co do tego wątpliwości.

Kiedy wychodzimy, wyglądamy jak lalki. Anna bierze mnie za rękę i prawi komplementy na temat mojego koka. Ma we włosach gipsówkę, wygląda to rozkosznie, małe białe kwiatuszki jak delikatny haft na tle czarnych włosów. Ja chciałabym mieć duży czerwony hibiskus za uchem – taki jakie zobaczyć można tylko u mnie w domu, w pełni rozkwitły – który

sprawia, że wygląda się bardziej seksownie. Ale nie wypada, matka z czerwonym hibiskusem za uchem, wydająca za męż córkę.

Wracamy do domu, zbieramy swoje rzeczy, a na dole już trąbi klakson. To Erie, jaki punktualny. Wchodzi na górę, żeby nam pomóc, z uśmiechem patrzy na Annę, mówi mi: „Dzień dobry pani, to pani jest pisarką?”, a Anna odpowiada: „No tak!”. Znosząc na dół pokrowiec z suknią Anny, mówi, że czytał jedną z moich książek, ale nie wie już którą, pamięta tylko, że to coś o Hindusach. Nigdy nie napisałam książki o Hindusach, więc uśmiecham się uprzejmie.

Z wiekiem nauczyłam się pokory. Akceptować, że biorą mnie za kogoś innego, kiedy wygłaszają swoje sądy na temat mojej twórczości, kiedy mówią, że wolą mnie niż tych z telewizji i tych, którzy piszą o tym, jak byli w telewizji. Cierpliwie słuchać ludzi, którzy opowiadają swoje życie, trzymając moją książkę jak kawałek sera camembert, i ani przez chwilę nie odczuwają chęci dowiedzenia się, co teraz piszę, a kiedy w końcu się wywnętrzą, odkładają zwilgotniały camembert, nawet na niego nie spojrzawszy. Uśmiechać się do tych, którzy gapią się na mnie jak na bydło na targu, kiedy siedzę przy stoliku za stosem książek do sprzedania. Wszystko przyjmować ze spokojem, powiedzieć sobie, że w końcu mam szczęście, bo mogę dalej pisać. Właśnie: dalej układać słowa, zdania, historie i w tych momentach być wolna.

Wsiadamy do dużego rodzinnego samochodu, gdzie są już wszystkie nasze rzeczy, a przede wszystkim pokrowiec z suknią Anny, grzecznie wiszącą przy oknie pasażera. Z daleka dostrzegam Yves'a stojącego przed dworcem. Czeka, paląc, a kiedy siada obok mnie z tyłu, zbyt głośno wdycham zapach tytoniu, więc on mówi: „Najwyraźniej potrzebujesz

papierosa”. Śmieję się, zakrywając usta, Yves kładzie mi rękę z tyłu na szyi, pod kokiem, długo naciska czterema palcami, jego kciuk sięga mi za ucho i nagle mam ochotę go pocałować. Teraz, tutaj, w usta o smaku tytoniu. Przybliżam się do niego, nasze czoła się stykają, on mówi: „Wyglądasz teraz jak wielka dama”. Znowu się śmieję, gdybyśmy byli sami, wpiłabym się chyba w jego usta i język.

– Rastapopoulos, a mnie nie masz nic do powiedzenia?

– Ach, Castafiore! No więc naprawdę bierzesz ślub? A gdzie twoje klejnoty?

Samochód rusza, nasza trójka zwija się ze śmiechu, Erie jest skupiony na swojej odpowiedzialnej roli kierowcy panny młodej. Jedziemy bulwarami, poziom wody w Saonie jest niski, widać trzciny wyrastające nad powierzchnię, na brzegach zarośla poszarzałe od kurzu, szkielety drzew unoszone przez wodę, sterczące nieruchomo na przęsłach mostów, rowerzystów w obcisłych spodenkach, rozkrzyczane biegające dzieci, tak jakby goniły lato, które dla nich nigdy nie nadchodzi wystarczająco wcześnie. Jest wiosna, może trochę wczesna, ale przecież już niedługo będzie maj!

Nie wiem, czy jestem przywiązana do Lyonu. Mam tu swoje dróżki, swój własny kącik, i jestem z tego zadowolona. Często pytają mnie, czy nie jest mi smutno żyć w kraju tak bardzo oddalonym od mojego. Nie pozwalam sobie na tęsknoty, w przeciwnym razie bym zwariowała. Tęsknota za morzem, kiedy wyłania się w czasie przyływu i w tym momencie mam pewność, że tu jest koniec świata; tęsknota za letnimi kwiatami, delikatnymi, pachnącymi; tęsknota za czymś – sama nie wiem, co to takiego – czystym w powietrzu, za czymś spokojnym, świeżym, –

tęsknota za słodkim sokiem z trzciny, od którego zgrzytają zęby i lepią się ręce; tęsknota za niskim, ciemnym nocnym niebem i tysiącami gwiazd, które wydają się tak bliskie, tak bardzo bliskie, jakby były w zasięgu ręki. Lubię Lyon tak jak – jestem tego pewna – lubiłabym każde inne miasto, w którym miałabym dach nad głową, stół do pisania, kwiaty do zbierania i, niezbyt daleko, Annę. W gruncie rzeczy jestem chyba jak te drzewa z korzeniami płożącymi się tuż pod powierzchnią, które może wymieść jeden silniejszy powiew wiatru, ale które równie szybko zakorzeniają się w każdej innej ziemi. Czasami mam wrażenie, że mój kraj jest troszeczkę i tutaj. Tu urodziła się moja córka, tutaj piszę, tu mam przyjaciół. Ale w głębi duszy, jeśli mam być szczerą, gdy tylko przymknę oczy, jestem przekonana, że naprawdę u siebie czułam się tylko z Matthew. Przy nim byłam pogodzona ze sobą, miałam tę swobodę i jednocześnie obawę przed rozczarowaniem, co pojawia się tylko przy kimś, kogo się kocha, w krajach, które są nam drogie.

Zaraz opuścimy autostradę i wjedziemy do Dombes. Czuje się już nastrój wakacyjny, asfalt i słupki na autostradzie jak gdyby nie pozwalają głowie jechać do przodu. Kałuże powysychały, kilka czapli szuka jeszcze ryb, które mogły się schować w błocie. Kilometry drogi obsadzonej drzewami, drogi biegnącej w wąwozie, pagórki i łagodne zagłębienia, ciągle drzewa, jak w romantycznym filmie drogi.

To wszystko bardzo mnie uspokaja. Yves gaworzy, jeszcze nigdy tu nie był, mówi: „Och, konie, farma, popatrz, tam jest jakiś człowiek, widziałaś kwitnącą wiśnię, tam z tyłu, Anno, słuchasz mnie?”. Zsunął się na sam skraj siedzenia, jest niespokojny, rozgorączkowany, z twarzą przy szybie, zupełnie niczym dziecko jadące do jakiegoś nieznanego, cudownego kraju.



Yves zawsze mnie bardzo rozczula, ma w sobie odwagę podziwiania, dzisiaj ta okolica, jutro książka, pojutrze jakaś twarz. Lata życia i różne doświadczenia nie zniszczyły tej zalety. Zastanawiam się w tej chwili, dlaczego nigdy się nie kochaliśmy. Było przecież wiele okazji, często byliśmy lekko odurzeni jakąś dobrą wiadomością, alkoholem, ilością wypalonych papierosów, jakimś krajem, który nas oszołomił, dobrymi żartami, także ciężkimi doznaniem, jak wtedy gdy Caroline, jego żona, umarła na raka. Po pogrzebie zostałam z nim cały tydzień w jego domu w Bretanii. Szalał z bólu, co rano mnie obejmował, płakał mi na piersi, głaskał po plecach, ścisnął mi ręce, tak jakby się bał, że ja też odejdę, wiedziałam, że myśli o żonie, o czekającej go samotności, z którą będzie musiał się pogodzić, o tym domu pełnym obecności Caroline, jego przemiłej żony, która robiła wyśmienite konfitury – a on, za każdym razem, gdy jechaliśmy do Afryki, rzucał się na tamtejsze paskudne różowe kleiste galaretki, składające się wyłącznie z cukru i barwników. Już mu brakowało seksu z nią, a perspektywa tej pustki, która przecież będzie trwała, budziła w nim strach.

To było dla nich bardzo ważne, dobrze wiem. Zawsze gdy byli razem, mieli dla siebie jakiś czuły, intymny, porozumiewawczy gest, który sprawiał, że odwracałam wzrok, coś w rodzaju mowy ciała, odsuwającej na bok resztę świata. Ona – jej ręka w jego włosach. On – jego palce na jej łokciu, jej głowa na jego ramieniu, jego dłoń na jej plecach. Dwoje ludzi, którzy ciągle się kochali po dwudziestu latach wspólnego życia. Czasami uśmiechali się do siebie przy stole, a Caroline się czerwieniła. Miała delikatną cerę jak z jedwabnego papieru, wyobrażam sobie, że całe jej ciało musiało też takie być, delikatne, kruche, przyjemne w dotyku,

wrażliwe, a kiedy kochali się zbyt gwałtownie, miała na skórze ślady jego objęć. Często bywaliśmy zapraszani na różne spotkania literatów, a wieczorem zostawaliśmy sam na sam. Zawsze była między nami pewna granica przyjaźni, linia, której żadne z nas nie chciało przekroczyć. Za każdym razem, gdy linia się zamazywała, jedno z nas miało więcej siły, wycofywało się, a następnego dnia oboje byliśmy zadowoleni, że nic się nie zmieniło. Caroline umarła sześć lat temu, a on ciągle nosi jej zdjęcie w portfelu. Na jego biurku w wydawnictwie stoi fotografia w ramce, przedstawiająca ich w górach, ona z przodu, on patrzy na jej plecy, a nie w obiektyw. On trochę zamazany, ona jasna, w pełnym świetle. Yves zawsze taki był wobec żony, nieco z tyłu, nie ze zwykłego szacunku, ale dlatego, że jego ciało i serce słabły z miłości, a on był chyba całkiem bezbronny. Z nich dwojga ona była silniejsza. Od jej odejścia on nie jada już przesłodzonych afrykańskich konfitur, bo za bardzo mu przypominają to, czego mu teraz brak.

Yves i Anna trochę przysypiają. Zdejmuję buty i podwijam nogi pod siebie. W tym samochodzie czuję się bezpieczna. Nie wiem, dlaczego właśnie teraz myślę o fotografii mojej stopy, zrobionej, kiedy miałam trzydzieści lat. To było w Setę – nie lubię tego miejsca z powodu tych wszystkich ludzi, którzy opalają się tak, jakby słońce miało zniknąć następnego dnia, tych wszystkich hoteli o poczerńiałych murach, nieuprzejmych sprzedawców, owłosionych mężczyzn z sygnetami na palcach i bransoletami z łańcucha na rękach, pomarszczonych kobiet o skórze koloru marchewki. Odbывał się tam konkurs czytania, ja miałam zaprezentować ostatni rozdział *Obcego*\* [Albert Camus, *Obcy*, przeł. Maria Zenowicz, Wyd. Krąg, Warszawa 1991. ]. Wybrałam Camusa; inni

czytali modne książki, w których było dużo seksu, mocnych słów, mieli teatralne głosy i gesty.

Weszłam na scenę, ubrana w czerwoną spódniczkę i białą bluzkę, czułam się pożądana i jednocześnie niedostępna. Czytałam ten ostatni rozdział na stojąco, nawet nie drgnęłam, czułam, jak sala nieruchomieje, wszyscy wstrzymują oddechy, był tylko mój głos, czerwona spódniczka, ledwo sięgająca łydek, wiatr, wiatr, wiatr, który unosił słowa Camusa. „Ja również byłem gotów przeżyć wszystko od nowa. Jak gdyby ten wybuch wielkiej wściekłości oczyścił mnie ze zła, odebrał mi nadzieję; wobec tej nocy pełnej znaków i gwiazd po raz pierwszy pozwoliłem się ogarnąć tkliwej nieczułości świata (... ) I aby wszystko się dopełniło, abym poczuł się mniej samotny, pozostało mi jeszcze pragnąć, by w dniu mojej egzekucji było dużo widzów i by mnie powitali okrzykami nienawiści”“.

Skończyłam, zeszłam ze sceny, wyczerpana jak nigdy. Drżałam na całym ciele, miałam łzy w oczach, jakiś chłopiec podszedł i podał mi dużą butelkę wody. Usiadłam pod akacją, zdjęłam buty, chciałam osunąć się na ziemię, wyciągnąć się... Nieco dalej stał jakiś mężczyzna z aparatem fotograficznym, patrzył na mnie z niepokojem, chyba byłam bardzo blada. Zamknęłam oczy, żeby czuć wokół tylko wiatr. Miałam trzydzieści lat, Anna dziesięć, została w Lyonie u przyjaciółki, a ja czułam się całkiem wyzuta z nadziei. Kiedy otworzyłam oczy, fotograf stał przede mną, podając mi zdjęcie. Miał polaroida, nawet nie słyszałam trzasku migawki. Powiedział: „Mam nadzieję, że się pani nie gniewa?”. To było zdjęcie mojej stopy.

Ponad trzynaście lat później, w samochodzie, który wiezie nas do zamku – wokół rozciąga się spokojny pejzaż – biorę do ręki notes i

wyjmuję zdjęcie zatknięte za skórzaną oprawę. Postarzała, stwardniała, ale to ciągle ta sama stopa.

Lewa stopa. Naprężona w górnej części, luźna przy linii palców. Wezbrane żyły pod skórą, letni skwar, nacisk jednej nogi na drugą, niedługo ogarnie ją zdrętwienie. Paznokcie pomalowane lakierem koloru odrobinę spłowiałej śliwki. To całkiem świeża kokieteria, lakier pokrywa jeszcze cały paznokieć, nie widać białego paska, który ukazuje się stopniowo u nasady, w miarę jak paznokieć rośnie.

Na kostce widnieje tatuaż. Sposób, w jaki obejmuje kostkę i wygięcie stopy, świadczy, że to prawdziwy tatuaż, a nie kalkomania, którą przykleja się wodą, a która potem łuszczy się jak łupież. Nie ma znaczenia, czy tatuaż jest ładny, czy nie. Jest jednak trochę niepokojący w połączeniu z długą stopą, z kośćmi sterczącymi pod skórą, ze śliwkowym spłowiałym lakierem. Na zdjęciu za stopą widać wysuszoną trawę, jest gorąco, widać też czubek czarnego buta pospiesznie zrzuczonego z nogi, leży w poprzek, zwrócony do obiektywu podeszwą z widoczną naklejką. Ale to wszystko nieważne. Teraz widzę, tak jak i wtedy, po występie, że to jest stopa dorosłej osoby, nawet nie młodej, lecz po prostu dorosłej. Z początku, kiedy trzymałam zdjęcie w palcach, nie mogłam uwierzyć, że to moja stopa.

Nie wyobrażałam sobie, że mam takie wielkie stopy, chude, kościste, które biegały, chodziły, poznać to po pięcie, – gdyby chociaż były trochę bardziej krągłe, można by zmylić trop, jak to się mówi. Ale tu, ta lewa stopa jest stopą typowo kobiecą. To stopa kobiety zdecydowanej, kobiety z dziećmi, mężem, domem, teściami, przyjaciółmi, czasem chodzącej na zakupy. A przecież wtedy miałam trzydzieści lat i tego wszystkiego w

moim życiu nie było. Miałam naturę piętnastolatki, po głowie snuły mi się myśli, że wszystko mi się uda, w naturalnym odruchu przejawiałam czułość wobec niektórych osób, czego dorośli już nie mają, nie umiałam stosować jakiegokolwiek strategii, moje kłamstwa były zupełnie niedorzeczne albo za bardzo wypracowane. Marzyłam o krainie bez cierpień, miałam zwariowane plany, na przykład żeby wszystko rzucić i zacząć od zera. Jeszcze dzisiaj, w wieku czterdziestu dwóch lat, spędzam czasem długie godziny na opracowywaniu planu, na wybieraniu kraju na rozpoczęcie nowego życia. Godziny stracone bezpowrotnie, bo oczywiście nie mogę tak sobie wyjechać. Jeśli to zrobię, szybko zostanę zapomniana, umieszczona na liście wszystkich tych niewyjaśnionych zniknięć, stanę się cieniem, na pół zmarłą bez grobowca, moje zdjęcia na zawsze zalegną w starej szufladzie, nikt już nie będzie sobie zadawał pytań, a ja znajdę się daleko, w innym kraju, z inną tożsamością, żyjąca zupełnie innym życiem – nie odwrócę się nawet na dźwięk imienia Sonia. Ale przecież nie mogę wyjechać, niepotrzebnie tracę czas, daję się ponieść złudnej radości, mam córkę, która na mnie czeka, częśćka mnie i mężczyzny, którego kochałam tak, jak tylko umiałam, czule, spokojnie, który wsłuchiwał się w melodię moich słów i któremu pozwoliłam odjechać, bo tak się robi, kiedy się bardzo kocha. Pozwolić odjechać, czekać, niczego się nie spodziewać, otrzymywać, oddawać.

Miałam wtedy trzydzieści lat i często myślałam także o śmierci, jak podlotek. Nie żebym była jakoś szczególnie nieszczęśliwa, nie. Myśl o śmierci wydawała mi się dość pociągająca. Powiedzieć stop, przyznać się do tego, że przyszłość mnie przeraża i że nie znalazłam sposobu na beztrudne przeskakiwanie kolejnych dni. Nie wiem, kto to powiedział:

wszyscy przychodzimy na świat, niesłusznie wierząc, że jesteśmy na ziemi po to, by być szczęśliwi.

Podobał mi się pomysł, by innym pozwolić wyobrazić sobie, jakie mogłoby być moje życie – na pewno byłoby piękne. O młodej osobie, która zadała sobie śmierć, nie mówi się, że dobrze zrobiła, bo przecież mogła mieć okropne życie. Nie, mówi się „ponura sprawa”. Zabić młodość, żeby móc ją zatrzymać, tak myślałam. Ale w kontekście tej stopy takie myśli były niestosowne.

Kiedy patrzę na to zdjęcie, w samochodzie, uspokojona mijanym pejzażem i pomrukiem silnika, wracają do mnie uczucia, które miałam w wieku trzydziestu lat, gdy także patrzyłam na tę fotografię. Doszłam do wniosku, że nie mam najmniejszej szansy, tego tajemniczego czegoś, co sprawia, że wszystko jakoś się układa, rozwija, przybiera jakiś obrót. To małe coś, znak nieba, znak czasu, czy ja wiem, które sprawia, że majonez robi się puszysty i – jeśli nie spartaczy się go naumyślnie – nie może już się zważyć. Zawsze znajdują się drobinki piasku, które mi towarzyszą, powodują zgrzyt mechanizmu, taka chyba jest moja karma. Miałam trzydzieści lat, napisałam trzy powieści, które miały średnie powodzenie, były raczej przyzwoite, pracowałam w kobiecym magazynie, właśnie przeprowadziłam się do Lyonu, sama wychowywałam córkę, wiodłam proste życie, godne, tak, godne, powinnam być zadowolona, a jednak nawiedzały mnie takie myśli. A w końcu czy tak bardzo się zmieniłam przez te trzynaście lat?

Ciągle mam rozmiar *smali*, nie noszę dekoltów, a jeśli już, to stale je podciągam, ani krótkich spódniczek, które nieustannie zsuwam na kolana. Kobieta dorosła tak nie robi. Nie umiem powiedzieć nie, nie lubię, kiedy

ludzie się na mnie gniewają, nie prowokuję ani konfliktów, ani kłótni. Marzę o urodzinach-niespodziankach, na których byłby ogromny tort z dużą ilością kremu, goście, którzy wyłoniliby się zza szaf i foteli, krzyząc NIESPODZIANKA!, o cudownym wieczorze, którego się nie zapomina, po którym trudno dojść do siebie. Dorosła kobieta nie miewa takich pragnień.

Patrząc dzisiaj na tę fotografię, uświadamiam sobie, że prawie nie myślę na przykład o seksie. Łóżko tak dla sportu, nie ma nic złego w tym, żeby sobie zrobić dobrze, tak to się chyba mówi? Ja nigdy. A to chyba też świadczy o dorosłości? Robić coś, co jest zakazane, bo teraz już jestem wolna, w wieku gdy mogę rozporządzać swoim ciałem. Jednak nie, nie przestaję więzić tego ciała, dawać mu schronienia, ciepłą pierzynkę w zimowe noce, jedwabną koszulkę w lecie, niekiedy męczyznę, zawsze dobrego, oddanego, którego w końcu opuszczam, bo nie potrafię przyjąć go do mojego świata, z moimi książkami, które mnie ujarzmiły, i córką, którą oswajam. Temu ciału nigdy nie zaoferowałam kochanka na jedną noc, który wziąłby je trochę dziko, z jękiem. Nie oszczędziłam mu moich myśli, moich niepokojów, moich głupich pytań.

Pamiętam, że patrząc na tę stopę, poczułam nagłą chęć zmiany. Stać się kobietą jak matki koleżanek Anny. Piec dla niej ciastka, szyć sukienki, dziergać szaliki, przyszywać etykietki z nazwiskiem na lewej stronie swetrów, czasem ją zbesztać, nie kazać jej znosić moich długich godzin w samotności przy biurku. Pamiętam, powiedziałam sobie, że trzeba dostosować się do własnego ciała, do przybywających lat, wyprzedzać tykanie zegara i wreszcie wyrobić sobie wizerunek, na który będzie się patrzyło z zadowoleniem.

Patrzę na zdjęcie stopy i przyglądam się tatuazowi. Zrobiłam go, gdy miałam szesnaście lat, w tajemnicy przed rodzicami, i myślę sobie, że to jest stopa, która pomyliła się z głową. Z taką stopą powinno się sporo wiedzieć, ponosić jakąś dużą odpowiedzialność, która przyniesie radość, gdy się jej sprostą; z taką stopą powinno się mieć ładny wygląd, podkład na twarzy kryjący zmarszczki, szrmkę budzącą pożądanie, podkreślone oczy i cień na powiekach. Ale ja nie mam nic z tych rzeczy. Nagle poczułam się smutna, niepotrzebna, zagubiona i ostatnia, która się o tym dowiadyuje.

W samochodzie, który wiezie nas na ślub mojej córki, nagle czuję jakiś ucisk w głowie i może nawet wzdycham, bo Yves bierze mnie za rękę i mocno ściska palce. Oto co powinnam była powiedzieć mojej córce: że trzeba mieć kochanka, dwóch, trzech, pławić się w rozkoszy, kochać się namiętną miłością, rozkazywać, rządzić, mówić o swoich pragnieniach, robić rzeczy, których może by się trochę wstydziła, rozluźnić się. Nie zachowywać się jak inni, mieć odwagę włożyć czerwoną suknię do ślubu, całować swojego mężczyznę na ulicy, w usta, z językiem, tak żeby ludzie się patrzyli i umierali z zazdrości; wytłumaczyć jej, że przed ślubem trzeba poznać inne ciała, inne uczucia, trochę pocierpieć, bardzo kochać, zagubić się, być trochę cynicznym, śmiać się z wielkich miłosnych wyznań, wzruszać się, dawać, nie chronić siebie samej, bo nagle można się obudzić, tak jak ja, w wieku czterdziestu dwóch lat bez żadnych przeżyć. Oto co powinnam była jej powiedzieć. Powinnam była powiedzieć, żeby robiła to, czego ja nie robiłam. Po Matthew znałam kilku mężczyzn, ledwo znałam, którzy zawsze brali mnie za kogoś innego, bo pisałam książki, bo czasami zdarzało mi się opowiadać o miłości. Mężczyźni, którzy myśleli,



że mam pewność siebie kobiety światowej, że znam do nich drogę. Nie, nie jestem taka, jestem tylko kobietą jak inne, która ma nadzieję, że pewnego dnia, nieoczekiwanie, przyjdzie prawdziwa bliskość, rozkosz we dwoje, naturalna wspaniałomyślność, spontaniczne szepty do ucha i że w całkowitym spokoju, zamykając wrota do świata, ona i jej mężczyzna doznają głębokiej rozkoszy we dwoje.

Kiedy samochód zatrzymuje się przed restauracją La Ferme du Bugey, boli mnie głowa od tych wszystkich powracających wspomnień, które są jak uderzenie w twarz, drzę z powodu ogarniającej mnie fali niezadowolenia: co zrobiłam z tymi latami, z tym życiem, z szansami, jakie miałam, ze wszystkimi spotkaniami, z których mogła narodzić się przyjaźń, miłość? Mam ochotę być gdzie indziej. Yves to wyczuwa, Anna także. Biorą mnie pod rękę z obu stron. Anna dosłownie popycha mnie łokciem, Yves otacza moje chude przedramię swoją wielką ręką. Dwie siły, jedna mnie prowadzi, druga mi towarzyszy. Mam czterdzieści dwa lata i wiem, że w tym momencie wyglądam na dwadzieścia lat więcej, z przygarbionymi plecami, smutnymi oczami, na chwiejnych nogach. Anna ma zaniepokojoną minę, pyta, czy dobrze się czuję, jest w jej głosie obawa, że matka wszystko zepsuje, rozchoruje się, wszystko szlag trafi... Patrę jej w oczy, jest bliska płaczu, i wtedy coś, sama nie wiem co, potrząsa mną, biorę się w garść, uśmiecham się do niej, mówię, że jestem po prostu zmęczona i dziko głodna. Jej wargi drżą, obejmuje mnie przez chwilę i mówi, tak jakby przemawiała do większej grupy: „Chodźmy jeść!”. Otrząsam się, nie wiem, skąd czerpię siłę i odwagę, by się uśmiechnąć, no, Soniu, mały wysiłek, będziesz miała dużo, dużo czasu na przemyślenie swojego nieudanego życia, mnóstwo czasu, staruszko.

Mała zwyczajna wiejska oberża z drewnianymi ciemnymi stołami bez obrusów, podniszczonymi, ze śladami po szklankach, plastikowymi kwiatami, a na ścianie trofea za najlepszego kurczaka z rejonu Bresse. W karcie oczywiście kurczak w sosie śmietanowym ze smardzami, żaby,

karpie i pulpety. Zamawiam pulpety w sosie Nantua, Yves także, Anna wybiera po prostu żaby z patelni, mówi, że nie jest bardzo głodna. Erię gdzieś zniknął, nie mam odwagi spytać, gdzie jest, ale jestem pewna, że to było przewidziane w programie Anny. 12. 30 wiejska oberża w Artemare, *Eńc ulatnia się.*

Yves i Anna przekomarzają się żartobliwie, a ja chowam się w miękkim kokonie, w którym mogę zwinąć się w kulkę, odzyskać spokój. Bardzo się boję o moją córkę, która wychodzi za mąż w wieku dwudziestu trzech lat, boję się, boję. Chciałabym jej powiedzieć, żeby wszystko odwołała, to nic takiego, kwiaty, zamek, cała reszta, za dziesięć lat kupimy ci o wiele ładniejszą suknię, lepiej wychodzić za mąż, kiedy ma się już drobne zmarszczki wokół oczu, co tam *wedding planners*, Alain jakoś się pocieszy, zaproszeni goście także, jeśli chcesz, wyjedziemy z Lyonu, będę przy tobie, powinnaś trochę podróżować, bawić się, szaleć, tracić głowę, nie wychodź za mąż. Dlaczego nie mówiłam tego wcześniej? Dlaczego nie byłam bardziej stanowcza, dlaczego się nie wściekałam, nie groziłam? Jak to się dzieje, że moja córka jest tak bardzo inna niż ja, że jej dążenia i pragnienia są tak oddalone od moich?

Ledwo tykam jedzenia, Yves głaszcze mnie po plecach, mówi coś o moim maszynopisie, że właśnie go czyta, to pierwsza książka, w której mówię o Mauritiusie, kraju, w którym przyszłam na świat. Yves mówi, że moje pisarstwo zmieniło się wraz z tą książką. Mówi, że jest bardziej brutalne, bardziej wyostzone i w chwili gdy ja i Anna odkładamy widelce, żeby go słuchać, nagle milknie i patrzy gdzieś w dal. Sądzę, że ma rację, pamiętam, że pisząc tę książkę, miałam wilgotne ręce i napiętą szyję, coś w rodzaju wewnętrznej złości, której nie mogłam pojąć. Nagle Anna

mówi, że nigdy nie piszę o tamtym kraju. Nazywa to „tamtym krajem”, tak jakby to było miejsce trochę przeklęte albo jakiś raj... Miejsce zakazane.

To prawda, że nigdy o nim nie mówię. Przez dwadzieścia pięć lat ani razu tam nie pojechałam, nie byłam tam od chwili, gdy w pewien ciemny chłodny październikowy wieczór wyjechałam odprowadzana na lotnisko przez połowę mojej rodziny. Bardzo mi się spieszyło, tak bardzo mi się spieszyło, żeby wsiąść do samolotu, wzlecieć w górę, dosłownie, że pojawił mi się przed oczami taki obraz: ja z rozpostartymi skrzydłami, swobodnie niesiona przez chmury. Moje serce przepełniała z niczym nieporównywalna ekscytacja, która wywoływała nieustanny uśmiech na moich ustach, aż wreszcie rodzice zaczęli się irytować; więc opuszczałam ich bez żalu, bez żalu wyjeżdżałam daleko od domu, daleko od bliskich? Oczywiście miałam pewne obawy, ale takie, które dodają odwagi, większej ochoty. Może to trema, która każe iść naprzód, która wyciąga to, co jest schowane głęboko w sercu. Opuścić rodziców, rodzinę, ojczysty kraj, ten mój piękny kraj – o takich rzeczach regularnie opowiadają w magazynach, w telewizyjnych reportażach, w sprawozdaniach ze wspaniałych podróży, dziecinnie zadziwieni wobec takiego piękna, a potem gapią się bez końca, zadając pytania, jakbym wszędzie miała być reprezentantką mojego kraju, jego godnym ambasadorem, opłacanym przez biuro turystyczne, i powinnam odpowiadać: „Tak, tam jest wspaniale, bardzo cierpię, że muszę być tutaj, tak, tak, jakież to piękny kraj ten Mauritius”, a zwłaszcza znajdować odpowiednią odpowiedź na słynne pytanie: „Co pani tutaj robi, tak daleko od morza i słońca?” – wyjechać, wszystko zostawić wydawało mi się zupełnie oczywiste, jako prawidłowe koleje życia, mojego życia. Tego dnia drżałam z niecierpliwości. Miałam

dopiero siedemnaście lat i drżałam z niecierpliwości, by wyjechać do obcego kraju, jeździć metrem, czuć, jak mróz łapie za nos, po prostu marznąć, dygotać z zimna, bardzo lubiłam to słowo „dygotać”, dotykać śniegu, próbować go, nosić rękawiczki, popijać ciepłą czekoladę, patrzeć, jak żółkną liście, w letnie noce słuchać muzyków grających na skwerach, jeść mięsa w sosie, truskawkowe i malinowe ciastka, całować cudzoziemca w usta na ulicy, czytać brukowe gazety, kupować stare książki nad Sekwaną, to wszystko, o czym sama czytałam w książkach, słuchałam w piosenkach. W przeciwnym razie skąd bym wiedziała, że jesienią liście żółkną i szeleszczą pod nogami, przecież dotychczas żyłam w kraju, w którym liście są zielone przez cały rok, a na ziemię spadają tylko wtedy, gdy są stare i chore albo zerwane przez wstrętny cyklon; skąd miałabym ochotę na ciepłą czekoladę, skoro w moim kraju nigdy nie jest tak zimno, żeby ją pić. Dlaczego miałabym tak lubić słowo „dygotać”, przecież moi dziadkowie byli analfabetami, rolnikami ogorzałymi od słońca, bardzo strudzonymi. Byłam przepelniona stereotypami i Bóg jeden wie, czy to dobrze. Nigdy nie uwolniłam się tak naprawdę od tych szablonowych obrazków. Anna, bardzo francuska i bardzo ironiczna, zawsze wyśmiewa się ze mnie, kiedy jesienią z ogromnym wzruszeniem stawiam ciężkie kroki pośród liści pod drzewami i kiedy narzekam, jeśli są zbyt wilgotne i nie szeleszczą pod butami. Zawsze robię duże oczy, gdy wieczorem widzę wieżę Eiffla, kiedy ceremonialnie zatrzymuję się przy bukinistach nad Sekwaną, szczęśliwa, że ciągle tam są, i wtedy godzę się ze wszystkimi rozczarowaniami, jakich doznałam.

W wieku siedemnastu lat Anna była grzeczną dziewczyną, porządną, zrównoważoną, nosiła dobrze skrojone spodnie i buty z zaokrąglonymi

noskami. Jedyłą fantazją, na jaką sobie pozwalała, były kolorowe szale, które przywoziłam jej z podróży. Ja w wieku siedemnastu lat byłam nieśmiała, ale chciałam jak najwięcej zobaczyć. Największy smutek ogarniał mnie, kiedy patrzyłam na mapę półkul ziemskich i wyliczałam kraje, do których nigdy nie pojedę. Kto jeździ na Kamczatkę, na wyspę Clipperton czy nad Anadyr? Nie przypominam już sobie, co nosiłam, ale na pewno nie buty z zaokrąglonymi noskami. W wieku siedemnastu lat nie miałam najmniejszej trudności, by opuścić rodziców, i sądzę, że Anna w tym wieku także by nie miała. Kiedy nagle to sobie uświadamiam, że i ona, i ja bez trudu potrafimy opuścić rodziców, nie posiadam się ze zdumienia. Tak właśnie jest, kiedy spędza się czas na porównywaniu, rozważaniu, Anna w wieku siedemnastu lat, ja w wieku siedemnastu lat, ja dziesięcioletnia, Anna dziesięcioletnia, oto co się dzieje, szukam czegoś, co nas łączy, z czego możemy być dumne, na przykład to, że Anna i ja robimy w ten sam sposób ryż po indyjsku, że zasypiamy z dłońmi lekko zwiniętymi, jakbyśmy nie chciały wypuścić jakiejś tajemnicy, że szerokim, pewnym gestem odrzucamy na ramię szal, to takie drobne szczegóły, które łączą matkę i córkę, córkę i matkę, a pośród drobnych radości umieszczam jeszcze tę: obojętność w stosunku do rodziców.

Tak, miałam w sobie tę obojętność. Do tego stopnia zresztą, że nigdy nie powróciłam na Mauritius. Często miałam taką chęć, przebywałam bardzo blisko, na przykład na Reunion, i wieczorami myślałam, że mój kraj jest tuż obok i jeśli stanę na czubkach palców w ciemną noc, prawdziwą wyspą noc, dojrzę światła na południowym zachodzie. Na przykład Morne. Kiedy umarli moi rodzice, nawet się nie ruszyłam, wydawało mi się to niestosowne, nie chciałam stanąć twarzą w twarz z

rodziną, ja, samotna matka, uciekłam, zamknęłam się w moim nowym kraju, bogatym kraju, rozwiniętym, gdzie mogłam sama dla siebie mieć dzieci i chodzić z wysoko podniesioną głową. I nagle mam do siebie pretensje, wyrzucam to sobie. Ale wiem, dobrze wiem, że to nie odruch miłości dziecka wobec rodziców, przyływ żalu, który nadejdzie dopiero po latach, ale obawa, że Anna zrobi mi to samo w odpowiedzi na to, co ja zrobiłam. Jak lustro odzwierciedli moje tchórzostwo, każe mi za to zapłacić, poczuć to, co czuli moi rodzice. Pocę się, gorąco mi, myślę, że jeśli Anna nie przyjedzie na mój pogrzeb, po raz kolejny będzie to mój błąd i że w pełni na to zasłużyłam.

Bardzo kocham moją córkę, nie chciałabym, żeby odeszła, wolę, żeby była ze mną, żeby płakała po mojej śmierci, żeby cierpiała, mówiła o mnie ze łzami w oczach jeszcze długo po mojej śmierci, żeby mnie żałowała i otwierała moje książki z westchnieniem bólu. Jestem wcieleniem egoizmu, ale wcale się tym nie przejmuję. Jestem jej matką, na litość boską. Jest mi to winna, musi odczuwać po mnie żal. Bo jeśli nie, to co? Przyniesie jej to ulgę, będzie zobojętniała jak ja kiedyś? Więc naprawdę wszystko zmarnowałam?

– Opowiedz, mamó, jak tam jest?

Anna wyrywa mnie z moich ponurych myśli jasnym poważnym głosem. Grzebię w talerzu jak dziecko, rozgniatam pulpeta, mieszam go z sosem na papkę, na którą mam jeszcze mniejszą ochotę. Mówię, że nie mam wiele do opowiadania, że moi rodzice nie żyją, brat mieszka gdzieś w Kalifornii i że nie pamiętam już jego twarzy. Na tym miałam skończyć, kiedy przypomniałam sobie o kwiatkach. Mówię do Anny, że w moim kraju rosną najpiękniejsze kwiaty na ziemi. Nie są pielęgnowane, sadzone, po

prostu wyrastają tam, gdzie im się podoba. Pachną jak świt, słońce, noc – czy istnieje jakiś sztuczny zapach, który zdoła uwiecznić te wonie? Kwiaty odcinają się na błękitnym niebie, są ogromne jak hibiskusy, delikatne jak migdałowce, zmienne jak królewskie gujawy nad ranem, na zawsze związane jak kwiaty szafranu. Dodaję jeszcze, że ogrody wersalskie to małe piwo w porównaniu z tym wszystkim, i wtedy Anna i Yves wybuchają śmiechem.

Patrzę na nich, myślę, że w tej chwili mnie lubią, mam ochotę wziąć ich w ramiona, oboje, uściskać, trochę podduścić.

W tym momencie wraca Erie (może to było zaznaczone w programie, *13.30 Erie wraca*) i siada z nami, by wypić kawę. Mówi do Anny, że goście już przyjechali do zamku. Zbieramy się, walczę z Yves'em o zapłacenie za obiad, mówię pewnym siebie tonem, wrywając mu rachunek: „Poczekaj, przecież dzisiaj jest ślub mojej córki”, on nie pozostaje dłużny i mówi: „Ale przecież ona też jest moja”, i czas staje w miejscu. Chciałabym, żeby dzień się na tym zakończył, jakimś cudem, dokładnie w tej chwili, w której zostaliśmy – Yves i ja – rodzicami Anny. Chciałabym wreszcie postawić kropkę nad i, zamknąć ten rozdział, zakończyć, niczego już nie dodając. Doskonałe zakończenie, happy end, z małym romantycznym rysunekiem na dole strony, girlandą, kwiatkami, czymś takim, co umieszcza się na końcu filmów animowanych albo filmów miłosnych. Moje życie podobne byłoby wtedy do pięknie opakowanego prezentu.

Tylko że nie jesteśmy w filmie, a jeszcze mniej w powieści, nie mam kontroli nad wydarzeniami, o niczym nie decyduję, jedynie poddaję się wszystkiemu. Kto decyduje o zakończeniu na tym świecie, kto decyduje o



nas, papierowych marionetkach? W końcu Yves zwycięża. Anna stoi w milczeniu z tyłu, wszystko słyszała, uśmiecha się trochę smutno, a kiedy nasze spojrzenia krzyżują się, wiem, że obie myślimy o Matthew. Moja córka zapewne wyobraziła sobie ojca zawadiakę, tułacza, jak mawiała, trochę rozczochranego, przystojnego, na pewno przystojnego, w kamizelce z dużą ilością kieszeni, z których wystają skarby. Ja natomiast starannie przechowuję wizerunek mężczyzny z gwiazdkami na plecach, który wsłuchiwał się w moje książki i mój głos, nie rozumiejąc ani słowa po francusku.

Wsiadamy do samochodu, jedziemy wzdłuż długiego szeregu budynków z ciemnego kamienia o potłuczonych oknach, z wywieszkami NA SPRZEDAŻ. Jaka smutna jest dolina Ain. Kiedyś była to bardzo ożywiona okolica, produkowano tu jedwab. Te wielkie domy z małymi okienkami pod dachem, poczerniałe z czasem, które przytłaczają ziemię, to wylęgarnie, tam wieśniacy hodowali jedwabniki i tuczyli je liśćmi morwy. Może wtedy to była wesoła dolina, pełna młodych dziewcząt o zwinnych rękach, które tkwały jedwab, ubrane w suknie z wycięciem i marszczone spódnice. Może było też wielu chłopców, którzy czekali na nie przy wyjściu z wylęgarni. Wyobrażam sobie, że drzewa morwowe o pokręconych pniach i liściach barwy morskiej toni, rosnące tam w dużych ilościach, przydawały świetności tej dolinie i że wszystko razem, młodziutkie dziewczyny, chłopcy, tkany tu jedwab, piękne materiały, wieczór zapadający po długim pracowitym dniu i świt, który zapowiadał nowy szczęśliwy dzień, to wszystko – jak sobie wyobrażam – w owym czasie naznaczyło to miejsce młodością i wiecznością.

Po przebyciu głębokiej doliny jedziemy przez wspaniałą równinę. Jest

dwudziesty pierwszy kwietnia, prawie wiosna, z dala widać górskie zbocza porośnięte drzewami, pola porysowane wspaniałymi prostokątami rzepaku, wygląda to jak żółte smugi z dziecięcych rysunków. W samochodzie jest nas czworo, otwieram szybę, kiedy jedziemy szeroką drogą obsadzoną ogromnymi platanami. Platany rosnące wzdłuż szosy to dzisiaj prawdziwa rzadkość; ludzie zakładają stowarzyszenia i w końcu wszystkich przekonują, że drzewa przy drodze są bardzo niebezpieczne. To zapewne prawda, ale co nam zostanie, co nas będzie zachwycać w czasie podróży przez wieś? Mam wrażenie, że jesteśmy sami na całej ziemi, chciałabym nastawić Otisa Reddinga i żebyśmy wszyscy razem zaśpiewali *Sitting on the Dock on the Boy* z łokciami opartymi na drzwiach, papierosem w ustach. Pragnę morza, pragnę spokojnej łagodności – no i w końcu jest piękny dzień, wymarzony na ślub.

Patrzę na czubki drzew, na ich mięsiste liście i gdy mrużę oczy, spoglądając przez rzęsy, wydaje mi się, że towarzyszy nam chmara ptaków. Skręcamy w lewo, na wzniesieniu ukazuje nam się zamek górujący nad doliną. Brama wjazdowa jest otwarta na oścież, samochód podskakuje na bitej drodze usłanej różnymi skorupkami, łupinami kasztanów, kamieniami. Pochylam się w stronę Yves'a, wykręcam szyję, żeby lepiej widzieć zamek poprzez drzewa rosnące wzdłuż całej drogi pod górę. Anna siedzi prosto, pewnie, kładę jej rękę na ramieniu. Mam wrażenie, że trochę drży. Kiedy auto zatrzymuje się na żwirowym podejździe, wysiada pierwsza, niemal wyskakuje. Podchodzi bliżej, ogląda zamek z góry na dół, opierając ręce na biodrach, potem patrzy na mnie, uśmiecha się do Yves'a i mówi: „Idę po Alaina”. Budowla nazywa się Lodowy Zamek. Yves stoi tyłem do niej. Patrzy na sosnowy las

zasłaniający dolinę, ciemne domy, pola rzepaku o żywej żółtej barwie, na miasto, ledwo zarysowujące się w oddali z powodu mgły na horyzoncie. Podchodzę do niego, obejmuję go w pasie. Jego prawa ręka spoczywa na moim ramieniu, a długie palce lekko opierają się powyżej piersi. Gdyby przytulił mnie trochę mocniej, mógłby swą wielką dłonią objąć całą moją prawą pierś.

Anna nas woła, Alain już się ubiera, mówi, jest druga, ślub cywilny za dwie godziny. Pogania nas, żebyśmy poszli się szykować. Na świadka Anna wybrała Yves'a, to zabawne, mogła przecież poprosić którąś z licznych przyjaciółek, ale nie, Yves będzie wszystkim naraz, świadkiem, ojcem, może też matką.

W zamku pulchna kobieta pokazuje mi mój pokój. Idzie przodem po schodach, a ja zastanawiam się, czy nosi perukę, czy ma za bardzo polakierowaną fryzurę. Sunie po posadzce małymi kroczkami, jakby miała pod nogami niewidzialne sukna i całe życie spędziła na froterowaniu podłogi. Kogoś mi przypomina, ale nie wiem dokładnie kogo. Mój pokój znajduje się w jednej z dwóch zamkowych wież i domyślam się, że to miły gest Anny. Pulchna kobietka kładzie klucz na komodzie z ciemnego drzewa stojącej przy wejściu, gdzie stare lustro odbija światło. Z dużego okna naprzeciw łóżka widzę las rozciągający się z tyłu zamku, po lewej stronie dolinę, stare poczerńiałe fabryki, stłoczone góry i pola, a wszystko podkreślone dziecinnie narysowanymi łaanami żółtego rzepaku.

Zapalam pierwszego dzisiaj papierosa. Palę go w skupieniu, jak najdłużej, zaciągając się głęboko, nie odczuwam najmniejszego poczucia winy, jedynie przyjemność. Łazienka jest przestronna, z białą wanną i głęboką porcelanową umywalką. Wkładam na głowę plastikowy czepek i

biorę prysznic. Ogarnia mnie śmiech, kiedy wyobrażam sobie przez chwilę, że wychodzę z pokoju w takim stroju, w czepeczku w różowe kwiatki nasadzonym na włosy. Myję zęby, perfumuję się za uszami i po wewnętrznej stronie nadgarstków. Wkładam granatową suknię, długą, prostą, bez rękawów, z dekoltem w szpic na plecach, otoczonym drobniutkimi haftami. Uważam, żeby nie zburzyć koka, który leży mi na karku i troszeczkę łaskocze. Moja ręka jest jakby osierocona z powodu braku bransoletki. Na ramiona zarzucam jedwabny szal, który Yves przywiózł mi z Nepalu. Miriada złotych, bordowych, czerwonych, karminowych nitek, które dają ciepło, rozgrzewają moje blade ciało. Przez chwilę masuję stopy kremem, żeby łatwiej wsunęły się w wążutkie czółenka, nakładam cień na powieki, jedyna rzecz, bez której nigdy nie wychodzę, i odrobinę szminki na usta. Po półgodzinie jestem gotowa.

Przez chwilę chodzę po pokoju. Jest dla mnie za duży, dzisiaj wieczorem poczuje się bardzo samotna, ale mam nadzieję, że wypiję tyle, by sobie z tego nie zdawać sprawy. Siadam na skraju łóżka i wtedy ogarnia mnie lekki zawrót głowy, wizja innego życia, tego z książki, którą właśnie piszę. Z początku wydaje się, że to jakieś niedomaganie, mam wrażenie, że wszystko wokół jest zamazane, że grunt ucieka spod nóg. Później widzę Robina, małego chłopca, który stracił rodziców. Wyraźnie go widzę, potrzebuję tego, kiedy piszę. Na przykład Robin ma jasnobrązową piżamę z ciemniejszą lamówką na rękawach. Tak właśnie jest ubrany, kiedy w domu zjawiają się policjanci, by powiedzieć, że rodzice mieli wypadek. Jest wątły, niemal chudy, proste gęste włosy tworzą coś w rodzaju kuli wokół głowy, on tego nie lubi, matka mu narzuciła taką fryzurę. Przed zaśnięciem gryzie róg kołdry. Ma piękne

brwi, takie, co się zaczynają u nasady nosa, a w późniejszym wieku ułatwiają zdobywanie dziewczyn. Kiedy się śmieje, jego małe oczy całkiem się przymykają. Nie wymyśliłam tego, podpatrzyłam tu i ówdzie, pomieszałam, albo chwyci, albo nie. Za każdym razem mówię sobie, że tym razem takie zbieractwo się nie uda, w końcu wyjdzie na jaw, że jestem zwykłą oszustką, złodziejką życia, sroką, która kradnie słowa.

No i siedzę tak na łóżku, prawie nieobecna. Mówię prawie, bo dzisiaj coś mnie tutaj zatrzymuje. Słyszę ptaki w lesie, czuję lekki ucisk koka na karku. Wstaję, żeby wyrwać się z odrętwienia, i postanawiam pójść do Anny. Starannie zamykam drzwi, idę korytarzem. Uświadamiam sobie, że robię to samo co pulchna starsza pani, suwam nogi po podłodze bez szmeru. Nagle pojmuję, kogo mi ona przypomina. Panią Santullo! Przystaję na chwilę, dziwiąc się, że jej wspomnienie ulotniło się na długie lata, a powraca akurat teraz.

W Paryżu mieszkaliśmy w starej kamienicy, gdzie mieszkanie na parterze zajmuje dozorca. Nazywał się Emilio Santullo, przyjechał z Włoch, by „robić za murarza”, jak wielu jego rodaków, ale nie był na tyle silny, jak mówił. Rzeczywiście wyglądał na wychudzonego, ścisnął spodnie paskiem, aż w talii robiły się fałdy, był pochylony, trochę drżący niczym trzcina. Robiło mi się słabo zawsze, gdy musiałam go o coś spytać. Byłam pewna, że kiedyś spadnie z drabiny albo ze schodów, że nie będzie w stanie przytrzymać ciężkiej bramy wyjściowej i zostanie przez nią zmiażdżony. Okazywałam mu uwagę, proszę uważać na to, proszę uważać na tamto, i myślę, że sprawiało mu to przyjemność. Mówił: „Pani jest jeszcze gorsza niż moja żona, pani Soniu”.

Czasem popołudniami zostawali z Anną. W ich małym dwupokojowym

mieszkaniu ładnie pachniało świeżo ugotowanym makaronem, a pani Santullo uczyła mnie, że są tylko dwa sposoby przygotowywania sosu pomidorowego. W trzy minuty, na dużym ogniu i wtedy przyska na wszystkie strony, albo dwie godziny na małym ogniu, *piano, piano*. Niekiedy przychodziłam do nich na kieliszek wina, siadaliśmy we troje przy niewielkim stole nakrytym jasnozielonym ceratowym obrusem, zawsze czystym, ale tym samym od lat. Pani Santullo, której imienia nie znałam, odsuwała na bok papiery, bo to ona zajmowała się rachunkami za drobne prace, jakie wykonywał pan Santullo. „Emilio”, mówiła, prawie nie wymawiając początkowego E, jakby jego imię prześlizgiwało jej się na języku. Nie wiem, czy zdawała sobie sprawę ze słodyczy i uczucia, jakie wkładała w wypowiedzenie tego imienia... Pani Santullo nalewała nam likier melonowy, grappę albo – kiedy wracali z wakacji we Włoszech – otwierała *lacrimachristi*, białe wino; piłam je, mrużąc oczy i rozkoszując się wybuchem nieznanych smaków na języku. Mieli małe drewniane taborety, na których trzeba było siedzieć prosto, z łokciami opartymi na ceratowym obrusie. Pani Santullo każdego trzydziestego pierwszego grudnia zmieniała koronkową zasłonkę na drzwiach stróżówki. Na przyjęcie nowego roku, mawiała. Spędzała dzień na gotowaniu, robieniu rachunków męża, roznoszeniu listów i pilnowaniu swego Emilia. O czym rozmawialiśmy popołudniami, kiedy przesiadywałam z nimi w tej kuchni pełnej życia, pod poźółkłą mapą Włoch na ścianie, gdy Anna śmiejąc się, śmiejąc się wniebogłosy, biegała z przyjaciółmi po korytarzu albo po podwórku? W Paryżu była prawdziwą małą śmieszką. Nie przypominam już sobie, o czym rozmawialiśmy, ale pamiętam, jaka czułość panowała zawsze między nimi, jak wymieniali wyrozumiałe uśmiechy, to milczące

wzajemne porozumienie dwóch osób znających siebie na pamięć – mogli swobodnie dokończyć wypowiedziane zdania, ale z szacunku dla siebie tego nie robili. Ten właśnie szacunek kazał im z uśmiechem wysłuchiwać po raz nie wiadomo który te same historie opowiadane przez jedno lub drugie.

Później pani Santullo zaczęła się powoli zmieniać. Nie od razu zdałam sobie z tego sprawę, myślałam, że z wiekiem coraz gorzej znosi codzienną bieżączkę i zajmowanie się mężem jak dzieckiem. Pewnego dnia, kiedy byliśmy we trójkę, ona, jej mąż i ja, w środku ożywionej rozmowy jej oczy nagle utraciły cały blask, zniknęły jakiegokolwiek emocje i nagle popatrzyła na nas, jakbyśmy byli obcymi ludźmi. Po chwili wstała, otworzyła drzwi i poprosiła, żebyśmy wyszli. Pan Santullo podszedł do niej i delikatnie poprowadził ją do ich sypialni, szepcząc jakieś słowa do ucha. Inni lokatorzy mówili, że biedna pani Santullo traci rozum; zapominała o garnku na gazie, zostawiała pocztę na deszczu, nie zmieniała koronkowych zasłonek, nie zmieniała kwiecistych fartuchów. Madeleine, moja sąsiadka, która pracowała w szpitalu jako pielęgniarka, powiedziała mi, że ona na pewno ma chorobę Alzheimera. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, co to jest, więc Madeleine, która potrafiła dużo powiedzieć, używając mało słów, wytłumaczyła mi, że to niepamięć wszystkiego. Pomyślałam, że pewnego dnia nie rozpozna swojego Emilia, zapomni, jak się nazywa, nie powie już „Emilio” z tą swoją cierpliwością i delikatnością i że jemu bardzo będzie brakowało tego, iż nie usłyszy już swojego imienia wypowiedzanego z taką miłością.

Kilka miesięcy później pani Santullo zniknęła. Poszła kupić chleb i nie było jej trzy godziny. Anna i ja siedziałyśmy przygnębione w naszym mieszkaniu, przy zaciągniętych zasłonach, z wentylatorem pracującym na

cały regulator, pijąc litry oranżady. Tego dnia było bardzo gorąco. Słoneczna pokrywa nad Paryżem. Pan Santullo zapukał do drzwi, powtarzał: „Moja żona odeszła, moja żona odeszła”. Szukaliśmy jej we trójkę po całym opustoszałym Paryżu, pod wyjątkowo błękitnym niebem, iskrzącym się błękitem, niemal oślepiającym, a nieliczne osoby, które mijaliśmy, przemykały się pod murami, bo upał był tak przygniatający. Anna bardzo poważnie traktowała te poszukiwania, być może w swej dziecięcej głowie myślała, że to coś w rodzaju tropienia skarbu. Była bardzo czujna, zaglądała za kubły na śmieci, bez wahania wchodziła na podwórka i od czasu do czasu wołała: „Pani Santullo! Pani Santullo!”. Odnaleźliśmy ją po trzech godzinach, siedziała na trotuarze w małej uliczce nieopodal cmentarza Montparnasse. Patrzyła przed siebie, miała bosc nogi, blade wysuszone usta. Głowa zwisała jej na szyi jak zmęczonej marionetce, szeptała: „Emilio, Emilio, Emilio”. Próbowaliśmy zatrzymać jakiś samochód, ale na próżno. Zasapane i spocone niosłyśmy panią Santullo aż do domu. Kiedy już leżała, podobna do dziecka, z dala od wszystkiego, wolna od wspomnień i przeszłości, Emilio Santullo powiedział do mnie: „Wie pani, pani Soniu, ona za dużo w życiu rozmyślała”.

To zdanie bardzo mnie zaskoczyło i dzisiaj sama zastanawiam się, czy mnie też czeka taki los. Za dużo rozmyślam, za bardzo gubię się w myślach, w końcu zagubię się po prostu w życiu.

Z parteru dochodzą wesołe głosy, polecenia, przesuwanie krzeseł, stukot, huk rzuconych na ziemię skrzyń, trzaskanie drzwiami i szybkie kroki. Kiedy wracałam, nie widziałam nikogo poza pulchną starszą panią. Słyszę też samochody, których opony skrzypią na żwirze, suchy trzask



zaciąganych hamulców ręcznych, zapewne z powodu nachylenia terenu. Zapomniałam w końcu, że to przecież ślub, będzie dużo ludzi, będą pić i jeść, trzeba się uśmiechać i udawać, że jestem szczęśliwa. Nastawiam ucha przed drzwiami do pokoju Anny.

Słyszeć śmiechy. Pukam parę razy i wchodzę. Anna ma pokój mniej więcej podobny do mojego. Siedzi naprzeciwko okna z uniesioną twarzą, pochyla się nad nią makijażystka. Mimo że się nie zapowiedziałam, już z daleka mnie woła, przez przymknięte usta, bo makijażystka właśnie maluje jej wargi. Ma już na sobie suknię księżniczki. Biel sukni, kwiatuszki we włosach nadają jej wygląd, który mnie rozczula. Staję obok makijażystki, młodej kobiety ze zbyt grubą warstwą podkładu na twarzy, oczami o gotyckiej czerni i bladymi ustami. Anna ma zamknięte oczy, rozchylone usta, ręce na białej spódnicy, duży ręcznik na szyi. Uśmiecha się lekko, bo wie, że na nią patrzę, i mówi: „Co o tym myślisz?”. Pochyliłam się do niej i szepczę, że jest piękna.

Ledwo wypowiedziałam to zdanie, a już wydaje mi się idiotyczne, tyle ludzi jej to dzisiaj powie, to właśnie mówi się pannom młodym, tak jak i małym rozkosznym dzieciom. Chciałabym wymyślić coś, co byłoby tylko moje, moje i jej. Ale ta chwila już minęła, zmarnowałam ją. Makijażystka uczenie przygotowuje mieszankę na wierzchu swojej ręki, dokładnie w miejscu, gdzie ciało jest bardziej zaokrąglone, między kciukiem a wskazującym palcem, i starannie nakłada bladą miksturę na twarz mojej córki. Potem wygładza podkład, skóra jest doskonale gładka, trochę nierzeczywista. Mówię do niej, może trochę za ostro, że nie powinna zakrywać pieprzyka nad lewą brwią, wtedy Anna się uśmiecha. W tej chwili do pokoju wchodzi Nina, podbiega do mnie w podskokach i głośno

mnie całuje. Obejmuję jej twarz rękami i przypominam sobie małą dziewczynkę, jaką niegdyś była, kiedy grzebała w moich pudłach, otaczała się nimi jak fortecą, jednodniowa księżniczka w swoim zamku wzniesionym ze starych książek. Mówi: „Włożyła pani suknię!”. Anna parska śmiechem, ja robię minę, jakbym była urażona, Nina się śmieje i wygląda to jak w filmach, dziewczyny wokół panny młodej, roześmiane, żartujące... Rzeczywiście, zwykle noszę stare dżinsy, T-shirty, a kiedy gdzieś wychodzę, wkładam sari. Mam ich dużo, w różnych kolorach, wyglądam wtedy jak hinduska dama, ale dzisiaj nie miałam na to ochoty. Chcę raczej wtopić się w to francuskie wesele, na modłę zachodnią, z ryżem i płatkami róż rzucanymi na nowożeńców, piętrowym tortem, szampanem, walcem, skrzypcami, pastelowymi kwiatami i wszystkim jak należy. Bez bębnow, bez szafranu, bez kapłanów śpiewających magiczne zaklęcia, bez kamforowych dymów, bez ognia, czerwonych kwiatów, przypraw, no i bez sari. Anna wstaje, suknia układa się znakomicie. Za chwilę weźmie pachnący bukiet z krótko przyciętymi zielonymi łądzkami, ze zwiniętymi kwiatkami. Nina mówi: „Anno, jaka jesteś piękna!”. Tak się zaczynają gotowe formułki, niedokończone wypowiedzi. Nina będzie druhną, ma na sobie krótką czerwoną sukienkę marszczoną na biodrach i rozszerzaną dołem. Podskakuje, przegląda się w lustrze przy wejściu, poprawia spinę przytrzymującą włosy nad czołem. Może zastanawia się, czy na nią także ktoś dzisiaj zwróci uwagę?

Biorę córkę pod rękę, na obcasach jest ode mnie trochę wyższa, a kiedy przyglądam jej się z ukosa, nie dostrzegam znamienia na lewej brwi. Z zewnątrz dochodzi dźwięk klaksonu, Anna mówi „spóźnimy się”. Kiedy schodzimy, Yves stoi przy samochodzie ustrojonym po bokach dwiema

białymi szarfami, bukietem na masce, trzymającym się tam chyba jakimś cudem. Yves ma na sobie błękitną marynarkę w kolorze mojej sukni, krawat o barwie bladego zimowego słońca, czeka wyprostowany, uroczysty.

Myślę o Matthew, o krajach, w których mieszkał, o kraju, w którym teraz przebywa, o tym, o czym może myśleć w tej właśnie chwili. Czy ma jakiegokolwiek przeczucie tego, co tu się dzieje? Jakiś niepokój w sercu, szybsze bicie, którego nie potrafi wytłumaczyć, może jakieś wzruszenie nadane stąd, z tego ogromnego dziedzińca otoczonego gęstym lasem i polami rzepaku, gdy jego córka wychodzi za mąż i ktoś inny wciela się w rolę jej ojca?

Po trzech minutach jesteśmy na miejscu. Miasteczko jest położone niżej. Czekamy z tyłu za merostwem, trochę jak złodzieje, w milczeniu, na przybycie rodziny pana młodego. Artemare jest typową starą francuską miejscowością: merostwo, naprzeciwko budynki szkolne, nieco dalej kościół, kilka starych renault 12, sklep ogólnospożywczy, chleb-papierosy-gazeta, pozamykane okiennice. Dzwoni telefon, Erie odbiera: „Dobrze, już idziemy”.

Wszystko jest doskonale zaplanowane, boję się mówić, oddychać. Myślę, co też dzieje się teraz w głowie mojej córki: czy wspomina swojego ojca, lata spędzone ze mną w milczeniu za zamkniętymi drzwiami? Czy pamięta dzień, gdy jej powiedziałam, że jej ojciec był moją młodzieńczą miłością i że nie mogę go odszukać, bo nie wiedziałabym, od czego zacząć? Czy myśli o tym dniu, kiedy wyznałam, że nie wiedział o jej przyjściu na świat, kiedy płakała, wymyślając mi od egoistek? O tym imieniu, które ze mnie wydobyła i które ożyło w jej umyśle, w jej ustach na długie dni? Matthew. Matthew. O szczegółach, których poszukiwała, a których ja jej nie dostarczyłam? Okrutna, byłam naprawdę okrutna, ale jak jej powiedzieć, że już za późno na zrobienie kroku w tył, na powrót do czasu, kiedy była u mnie w brzuchu, kiedy jeszcze miałam wybór – powiedzieć albo nie powiedzieć? Jak dać jej do zrozumienia, że jej ojciec miał marzenia, w których nie było dla niej miejsca, i że ja – z miłości – nie chciałam mu narzucać dziecka? Mówię „z miłości”, ale czy to z miłości nie mówi się mężczyźnie, że oczekuje się jego dziecka, mężczyźnie kochanemu, który kocha? Czy to nie jest raczej dowód mojego egoizmu,

tchórzostwa? Może byłby szczęśliwy, wiedząc, że jest ojcem? Ta droga, najeżona różnymi „być może”, jest śliska, nie żałuję wyboru, jakiego dokonałam przed dwudziestoma czterema laty, nie chcę tego żałować. To nic nie zmieni, naprawdę już za późno. Podobno w szkole opowiadała, że jej ojciec jest koczownikiem. Sama wpadła na to słowo. Matthew koczownik. Często w nocy śni mi się, że stoję przed sądem, ale nie wiem, o co jestem oskarżona. Wtedy budzę się z nieprzyjemnym uczuciem, że jestem oskarżona o złe wychowanie córki. Zrobiłam, co mogłam, tak, zrobiłam wszystko, co mogłam, tak jak potrafiłam. Nigdy nie zamieszkałam z mężczyzną, nigdy nie sprowadzałam mężczyzn do domu. Nigdy nie wracałam z amantem, nie chciałam, aby Anna miała wrażenie, że mnie dla niej nie ma, tak jak jej nieobecnego ojca, by miała wrażenie, że ją opuszczam. Myślę, że dałam z siebie wszystko. To takie trudne być matką, nie wiem, jak to robią inne, którym wszystko się udaje, dwójka lub trójka dzieci, ciągle uśmiech na ustach, pewne ruchy, dzieci spokojnie dorastają, zawsze staranna fryzura, przedziałek z boku, ufność we wszystko, we wszystko. Pamiętam, że kiedy chodziłam z Anną na plac zabaw czy na szkolne zabawy, zawsze byłam pełna podziwu dla innych matek, spijałam ich mądre słowa, próbowałam naśladować, robić to samo co one.

Dałam może Annie całą moją miłość, ale nie stworzyłam jej rodziny. Dzisiaj dobrze to widzę: żadnych ciotek, kuzynów, braci, bratanków ani siostrzeńców. Tu, na tym ślubie, znam bardzo niewiele osób. Yves, Nina, najwyżej kilkoro przyjaciół Anny. Jutro państwo młodzi będą mieli nowych przyjaciół, nową rodzinę i coraz bardziej będą się oddalać od mojego kręgu samotności. Zostanę sama, z postaciami z moich powieści –

jak książka pokryję się kurzem i wszyscy o mnie zapomną.

Do merostwa wchodzę pierwsza, ludzie patrzą na mnie, uśmiecham się ze spuszczonej oczami, dostrzegam Alaina, tam, z przodu, czeka na mnie i robi w moim kierunku ruch ręką. Wiele kobiet nosi kapelusze, mam wrażenie, że jestem śmieszna z tym lakierowanym kokiem. Co najmniej tak śmieszna jak mer z trójkolorową szarfą na piersi, uwydatniającą brzuch. Coś w rodzaju pasa ciężowego, ale w poprzek. Siadam gdzieś pośrodku, szuram krzesłem, ręce mam wilgotne, chciałabym być gdzie indziej. Ale zaraz potem wchodzi Nina, potem Anna w swojej pięknej, grzecznej sukni, z pachnącym bukietem, pod rękę z Yves'em. Ludzie uśmiechają się, a kiedy podchodzi bliżej, uświadamiam sobie, że niewiele widzę, bo nakrycia głowy przede mną stanowią skuteczną zaporę. Obok mnie siedzi nieznana mi para w eleganckich strojach. Wszystko toczy się bardzo szybko, z powodu wentylatorów prawie nic nie słyszę. Jakieś papiery do podpisania, wymieniane nazwiska, dwa razy wyszeptane „tak”, żadnego pocałunku, i koniec. Anna i Alain wychodzą, nie będą na nas czekać, prawdziwy ślub odbędzie się za godzinę w zamku. Matka Alaina, którą widziałam tylko raz w życiu, podchodzi do mnie z wyciągniętymi rękami. Mówi: „Ach, jakże te dzieci szybko dorośleją!”. Głośno mnie całuje, przedstawia kilku osobom, nie zapamiętuję ani ich twarzy, ani nazwisk.

Kiedy opuszczam merostwo, sama, oślepiam słońce. Yves czeka na mnie z boku, pali papierosa i głową daje mi znak, abym podeszła. Rozglądam się wokół, tak jakbym chciała coś ukraść, i idę do niego, w stronę papierosa, którego mi podaje. Ludzie pospiesznie odchodzą, nie rozumiem, dlaczego tylu ich przyszło do merostwa, próbuję zatrzymać w

pamięci kilka twarzy, ale papieros jest zbyt wielką rozkoszą, bym mogła zainteresować się czymkolwiek innym. Nagle podjeżdża taksówka, szybko wysiada z niej wysoki mężczyzna o włosach spłowiałych od słońca. Wygląda marynarke, kilka razy uderza dłonią o spodnie, jakby chciał otrzepać je z kurzu, wchodzi do merostwa, zaraz potem wychodzi ze zmartwioną miną. Rozgląda się, patrzy na mnie, na mnie i na papierosa, którym zaciągam się z rozkoszą, i robi zabawne gesty. Lekko wzrusza ramionami, zaciska usta w grymasie częściowo wstydu, a częściowo rozbawienia. Spóźnił się, przeprosza mnie za to, dlaczego mnie, może dlatego, że jestem jedyną osobą, która w tej chwili na niego patrzy? Yves szuka w marynarce następnego papierosa, ludzie wsiadają do aut, młodzi się śmieją, nowożeńcy już odjechali. Ja jestem jedyną osobą, która na niego patrzy, i dokładnie go naśladuję, wzruszam ramionami z nieco zażenowanym uśmieszkiem. A potem – tak jakbyśmy mieli po sześć lat i popełnili razem jakieś wielkie głupstwo, za które musimy ponieść karę, ale z perspektywy naszych sześciu lat wcale się tym nie przejmujemy, co tam, najwyżej pozostaną nam fajne wspomnienia z tego dziecięcego nieposłuszeństwa – mężczyzna z pewnym opóźnieniem, ja z papierosem w ustach, śmiejemy się. On odchyła głowę do tyłu, ale ani na chwilę nie spuszcza mnie z oczu, ja parskam śmiechem, wypuszczając dym, którym się jeszcze nie zaciągnęłam. W tej chwili jesteśmy jak dwoje filuternych niesfornych dzieciaków. Podchodzi do niego wysoka kobieta w kapeluszu, całuje go, a on, jeszcze zanim odejdzie, robi ruch ręką w moją stronę.

– Znasz go?

– Nie.

Tak bardzo chciałabym odpowiedzieć twierdząco na pytanie Yves'a,

tak, znam go. Nie wiem dlaczego, ale teraz mam wrażenie, że gdybym znała tego człowieka, pomogłoby mi to przeżyć ten dzień.

Zaczyna wiać lekki wiatr, Yves i ja patrzymy w niebo, robiąc taki sam ruch głową. W to sobotnie popołudnie wioska jest opustoszała. Wzdłuż Artemare biegnie szosa, po obu jej stronach widać winnice, nieco dalej kilka oddalonych od siebie gospodarstw. Tutaj nikt nawet nie spędza letnich wakacji, tu się tylko przyjeżdża tak jak my, jak wielu innych, by spędzić weekend w miejscowym zajeździe, zjeść kurczaka w sosie śmietanowym albo żaby, najeść się do syta – przy okazji ślubu w zamku albo po prostu przez zwykły przypadek. Erie wiezie nas do zamku, – mam wrażenie, że dzień, tak jak chmury nad naszymi głowami, nagle bardzo przyspiesza swój bieg. Przypominam sobie, jak rano obudziłam się wraz ze wstającym słońcem, naszą wspólną poranną herbatę, intymny nastrój, jaki panował między mną a moją córką, gdy obejmowałyśmy się, mam nieprzyjemne uczucie, że to wszystko jest już odległe, bardzo odległe. Chciałabym, żeby Anna zleciła mi jakieś zajęcia, poleciła coś zrobić, z kimś się spotkać, kogoś przyjąć; ale nie, wręczyła mi tylko listę z wykazem godzin i miejsc, w których muszę być. Po prostu tylko być.

Po przyjeździe do zamku dziwię się, że tyle zrobiono w czasie, gdy byliśmy w merostwie. Od strony lasu, , niepokojąco gęstego, zwartego, wzniesiono coś w rodzaju ołtarza, na wzór altany pokrytej białym woalem. Ustawiono dziesięć rzędów białych krzeseł, rozdzielonych w środku alejką, otoczonych zielonymi i czerwonymi kwiatami oraz białymi szarfami. Wszystko razem podobne jest do wystroju wnętrza z amerykańskich seriali, które rano są nadawane w telewizji. Muzycy – gitarzysta, flecista, skrzypek – stroją instrumenty, rozmawiają, powstaje z



tego mieszanina słów, dźwięków, gam. Powiewa wiatr, napręża tkaninę na ołtarzu, podchodzę bliżej; zostawiam z tyłu Yves'a i innych gości, którzy stoją w małych grupkach wokół zamku. Uśmiecham się do muzyków, po raz pierwszy tego dnia mówię: „Jestem matką panny młodej”, a oni wstają, wszyscy trzej, spodziewam się niemal ukłonu. – „Ach, mamusia panny młodej, gratulacje, gratulacje, jaki wspaniały dzień, ma pani piękną córkę, chyba jest pani bardzo szczęśliwa” – ale oni w milczeniu podają mi ręce i siadają na swoich miejscach, pograżeni w strojeniu i rozstrojeniu. Czuję się jak intruz i myślę sobie, że to właśnie muszą odczuwać inni wobec mnie, kiedy zagłębam się w sobie, pograżam się w moich słowach, zdaniach i wymyślanych istnieniach.

Odwracam się, żeby odejść, i wtedy dostrzegam wysokiego mężczyznę, który przyjechał spóźniony; uczesał się, ale wiatr nieustannie zwiewa mu włosy na oczy. Włożył czerwony krawat, czarną marynarkę, beżową koszulę. Ma w sobie tę swobodną elegancję, którą odznaczają się niektórzy mężczyźni. Ubrany jak spod igły, garnitur, krawat, spinki przy mankietach, włoska koszula z ozdobnie wykończonym kołnierzykiem, wyglansowane buty, a jednak widać, że czuje się w tym wszystkim swobodnie. Podchodzimy do siebie z uśmiechem. Podaje mi rękę, tak jakby mnie znał, podaję mu swoją, staram się zrobić miłe wrażenie i porządnie uścisnąć mu dłoń, ale on nie tego oczekuje. Przytrzymuje moją drobną rękę w swoich dłoniach i mówi: „Pani jest mamą Anny? Ja jestem tatą Alaina”.

Mamusia i tatuś. Z pewnością nie w odpowiednim układzie, nie tak jak powinno być, nie do pary, ale tak po prostu, w jednym zdaniu, każdy może się pomylić. Stąd już tylko jeden krok do męża i żony, kochanka i

kochanki, amanta i amantki. Mówi „mamusia i tatuś” i wywołuje to w nas dziecięce miny i znowu uśmiechy, jak przed chwilą. Jego dłonie są twarde, trochę szorstkie u nasady palców, mogłabym tak długo stać, z ufnością. Za nami muzycy, las, pola rzepakowe, niebo i wiatr. Wiatr, który targa mi kok, unosi kosmyki włosów nad głową i zwiewa je na twarz. Tata Alaina wypuszcza moją rękę ze swej lewej dłoni, jego palce zbliżają się do mojej twarzy, zaraz weźmie kosmyk włosów, odsunie go za ucho, muskając mi skroń, tak właśnie zrobi, ta pieszczota wywoła we mnie wrażenie ukłucia igiełek na całym ciele, już jest trzy centymetry od oczu, widzę jego duże palce, ciemne długie linie na dłoni, ale nagle intymność tego gestu zaskakuje nas oboje, robię krok do tyłu, wtedy on opuszcza rękę. Serce przestaje mi bić, czuję trzepot w brzuchu. Przez ułamek sekundy patrzymy na siebie dobitnie, po czym on się uśmiecha, usuwa się na bok, żebym mogła przejść.

Czuję słabość w nogach, usiłuję iść z godnością. Kiedy kupowałam suknię, wybrałam właśnie tę ze względu na dyskretne desenie wzdłuż dekoltu na plecach, wzdłuż linii bioder, najpierw gęstniejące, a potem znikające w fałdach tkaniny. Anna spytała, dlaczego tak piękne wzory są umieszczone z tyłu, ja odpowiedziałam, że to dla mężczyzn, którzy wodzą za mną wzrokiem. Roześmiała się, moja kochana Anna, tak jakbym żartowała, jakbym to wymyśliła na poczekaniu, bo przecież tak czy owak nikt nie będzie wodził wzrokiem za jej matką. I teraz nagle o tym pomyślałam, wiem, że stoi za mną, wiem, że na mnie patrzy. Teraz pójdę do Yves’a, który stoi na górze schodów. Jest sztywny, jakby połknął kij, ładnie pachnie, chyba dopiero co się pokropił. Czeka na sygnał, by pójść po Annę.

Ślubu udzieli pastor. Jest tu obok nas, w purpurowej szacie niczym kardynał, robi zamaszyste gesty, ma uśmiech na ustach, idzie krokiem wolnym i także zamaszystym, tak jakby kroczył w takt walca, który tylko on słyszy. Nina schodzi po schodach, daje znak Yves'owi i pastorowi. Duchowny pokazuje, także szerokim gestem, żebyśmy usiedli. Siadam na miejscu, które wskazuje mi przyjaciel Anny, po prawej stronie, w pierwszym rzędzie. Oprócz mnie nie ma tu nikogo. Po drugiej stronie rodzina Alaina w komplecie. Jego matka, Evelyne, w dużym różowym kapeluszu, który przytrzymuje ręką, obok niej ojciec Alaina, widzę jego jasną głowę przewyższającą kapelusz żony, jego byłej żony. Obok nich siedzi starsza pani o bardzo miłej twarzy. Czasami to efekt upływu lat, wiek zamiast pogłębiać rysy, łagodzi je, zmarszczki sprawiają, że widać uśmiech w oczach, cera staje się miękka, delikatna jak u dziecka, tylko z większą liczbą zmarszczek, powieki nieco opadają na oczy, ale akurat tyle, by złagodzić twardość spojrzenia.

Następni goście siadają, poznaję przyjaciół Anny, kolegów, którzy bywali u nas w domu, niektórzy uśmiechają się do mnie uprzejmie, teraz już wiedzą, że to ja, matka Anny, bo tu siedzę. Podchodzi Alain, sam, za nim Erie. Siada obok mnie, dotykam jego ramienia z czułością, tak mi się przynajmniej wydaje. Uśmiecha się do mnie, skupiony, trochę napięty, i wtedy flecista zaczyna grać *Only you* Plattersów. Muzyka przybiera na sile między drzewami, słychać tylko ją. Wstajemy z miejsc, moja piękna jedyna córka pojawia się u boku Yves'a. Ma cieniutką woalkę, która zasłania jej całą twarz i szyję, bukiet jest przewiązany szeroką czerwoną wstążką. Obok niej poważny Yves, wyprostowany. Trzyma ją za rękę jak zakochany, bardzo mnie to wzrusza. Za nimi idą ubrane na czerwono

druhny. Z tyłu, na schodach, widzę kobietę o kruczoczarnych włosach, które nie pasują do jej jasnej cery. Przytyka dwa palce do ucha, jak tajni agenci w filmach, mówi coś, zasłaniając usta. Wszystko jest idealne, dobrze zorganizowane, na swoim miejscu. Kiedy muzyka cichnie, zaczyna wiać wiatr, który szarpie beżową tkaninę. Pastor wypowiada właściwe słowa, słowa z filmów, słowa wyreżyserowane. Właściwie nie słucham. Patrzę, jak moja córka spogląda na swego przyszłego męża. Woalka sprawia, że jej twarz wydaje się anielska, trzymają się za ręce, jej oddech jest spokojny, jest skupiona, skoncentrowana, nie uśmiecha się, zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Pod woalką jej włosy wydają się jaśniejsze, niż są w rzeczywistości.

Mniej więcej do wieku siedmiu lat Anna była blondyneczką z kręconymi włosami. Wieczorami patrzyłam, jak śpi, i zastanawiałam się, czy to możliwe, że urodziłam istotę tak inną niż ja. Tak jakby dla powetowania sobie nieobecności ojca wszystko po nim odziedziczyła. Jego bladość, cienkie kręcone włosy, delikatną cerę, kolory na policzkach, kiedy się złości albo kiedy jest zmęczona. Patrzyłam na nią i widziałam Matthew. Bez znamion, ale jego nieodrodna córka. Za radą przyjaciółki z redakcji pewnego dnia obciąłam pasemko włosów Anny, delikatny jasny kosmyk, rozczulający kłaczek, który pieczołowicie przechowuję w grubym pergaminie, a który Anna regularnie ogląda. Delikatnie bierze wtedy kosmyk w palce, przybliża do swoich włosów, teraz już długich, prostych, prawie czarnych jak moje, i za każdym razem mówi: „To nie do uwierzenia!”. Żałuje swoich blond włosów, jest pewna, że byłaby z nimi o wiele ładniejsza, ale wie, że jasne włosy to dla mnie coś bardzo smutnego. Z tego właśnie powodu wyjechałyśmy z Paryża.

Anna miała sześć lat, mieszkaliśmy przy ulicy du Chateau w czternastej dzielnicy już czwarty rok, były tam moje ulubione miejsca, państwo Santullo, kilku miłych i dyskretnych sąsiadów, podwórko z rowerkami – nic nie zastąpi podwórka z rowerkami, to znaczy, że są tam młodzi chłopcy, jeszcze niewinni, którzy dzwonią, pedałużą, którzy wierzą w wysiłek fizyczny, dziewczynki siedzące może na ramie – a przede wszystkim mur, naprzeciwko, z fioletowymi glicyniami wiosną.

Nigdy potem nie widziałam takich glicynii. Od kwietnia pokrywały cały sąsiedni mur, wybuchały kiściami, zupełnie jak winne grona na kiczowatym obrazku z mitologii greckiej, niekiedy trwały tak do końca maja, starzały się, bledły, ale ja codziennie otaczałam je troską, przez całe ich krótkie życie, z daleka do nich mówiłam. Rano pracowałam w domu, pisałam w małej kuchni, zawsze ręcznie. Mam jeszcze od tego stwardnienie na środkowym palcu, jest trochę zniekształcony; wytworzył się u mnie nawet pewien tik: kiedy intensywnie rozmyślam, mocno pocieram tę stwardniałą narośl, tak jakby miał stamtąd wyjść jakiś dobry duszek, który spełni moje trzy życzenia. Anna chodziła do szkoły dwieście metrów od domu, co rano ją tam odprowadzałam. Zajmowało nam to najwyżej pięć minut, ale grzecznie trzymała mnie za rękę, żeby sam fakt, iż matka ją odprowadza, nie był czymś zwykłym, żeby to wszystko miało jakiś sens. Myślę, że dzieci uwielbiają rytuały. To był taki nasz poranny rytuał. O jedenastej szykowałam się do wyjścia do pracy, jechałam autobusem, aby przysłuchiwać się rozmowom ludzi, skraść im trochę ich życia, o tej porze tylko starzy ludzie rozmawiali głośno, witali mnie pełnymi szacunku słowami „dzień dobry pani”, a ja ustępowałam im miejsca, kiedy był tłok. Docierałam do redakcji, mieszczącej się za

kościółem Notre-Damede-Lorette, i pracowałam bez przerwy do osiemnastej. Robiłam korektę, redagowałam, przerabiałam tytuły, systematycznie usuwałam gry słów. Nie lubię tego, gra słów to takie typowo francuskie, jakby jakieś porozumienie eliminujące wszystkich tych, którzy nie są Francuzami, którym nawet słownik nic nie pomoże. Jeszcze dzisiaj przychodzą mi do głowy, ku memu wielkiemu zaniepokojeniu, gry słów, łatwe skojarzenia, muszę zrobić pewien wysiłek, żeby ich nie stosować, to mój jedyny sposób, by pozostać godną, inną, żywą.

Anną opiekowała się młoda Angielka. Kiedy wracałam o siódmej wieczorem, co najmniej przez kwadrans rozmawiałyśmy po angielsku, przy Annie, dla Anny, która wzdychała jak niegrzeczna małolata. W dniu zamykania numeru Anna zostawała u koleżanki albo na dole u pani Santullo, albo u Madeleine, mojej bardzo seksownej hiszpańskiej sąsiadki. Najbardziej lubiła zostawać właśnie u niej. Razem oglądały hiszpańskie filmy, Madeleine puszczała płyty ze smutnymi balladami, tańczyła na wysokich obcasach i dla Anny to było prawdopodobnie bardzo egzotyczne – słowo, którego nie wolno jej używać w mojej obecności. Nie stosuję wielu reguł wobec mojej córki, ale od tej jednej nie wolno jej odstępować. Słowo „egzotyczne” nie jest odpowiednim słowem, nie jest właściwym słowem, to ogólnik wynikający z ignorancji lub z paternalizmu. Ktoś egzotyczny nie może być inteligentny. Ktoś egzotyczny nigdy nie dostanie Nagrody Nobla. Ktoś egzotyczny jest zawsze trochę głupi, niewiele rozumie z tego świata, owszem, miły, ale zacofany.

Zagnieździłyśmy się w tym naszym skromnym życiu bez większych niespodzianek, matka i córka starające się żyć jak najlepiej. Czasami

myślałam, że tu się zestarzeję, z tą hałasującą lodówką i kolorowymi rysunkami Anny przypiętymi pinezkami do ściany. Czułam się bezpiecznie, mogłam chodzić po ulicy z zamkniętymi oczami, zostawiać Annę na długie godziny na skwerku, słuchając dochodzących stamtąd dziecięcych głosów. Ale nic nie toczy się zgodnie z przewidywaniami, zwłaszcza gdy się o tym marzy.

Pewnej soboty – Anna miała wtedy dokładnie sześć lat – poszłyśmy na zakupy do supermarketu przy Porte d’Orleans. Był tam dziki tłum, rodziny z wózkami, głosy bez przerwy gadające do nas przez megafony. Anna chciała różowe cukierki naładowane chemią, które musują na języku, od których mrużą się oczy z rozkoszy i kwaśności. Nie wiem, dlaczego tego dnia postanowi – ‘łam wypróbować swój autorytet. Nie potrafię wybrać odpowiedniej chwili, kiedy powiedzieć nie, kiedy powiedzieć tak, często popełniam błąd, ale wtedy byłam na nie. Kategorieczna odmowa, jakby te cholerne cukierki za dwa centymy mogły ją zepsuć, zdemoralizować, zrobić z niej małą księżniczkę. Nie wiem, o co mi chodziło. To chyba z powodu tego całego zgiełku, tłumy, który rzucał się na stoiska, kupował, kupował, kupował, jakby przeczuwając bliski koniec świata. Anna, tupiąc, dreptała za mną między stoiskami, a ja czułam wzbierającą we mnie złość. Zagroziłam jej klępsem, porządnym klępsem za te cukierki, co mnie napadło, mnie, przecież nigdy nie uderzyłam mojej córki. Otworzyła szeroko oczy, dobrze pamiętam te szeroko otwarte oczy, podbródek jej zadrżał, a ja powiedziałam stanowczym, silnym głosem, że klaps będzie też za ten atak płaczu, jeśli dalej będzie się tak upierać. Szłam do przodu, pchając przed sobą wózek, groziłam córce, gderalam jak stara zrzęda, rozpaczliwie szukałam mleka, chyba specjalnie przestawiają mleko, żeby

ludzi ogłupić.

W pewnej chwili odwróciłam się i zobaczyłam, że Anny nie ma. Pamiętam, że na początku się nie bałam, pomyślałam tylko, że naprawdę zasłużyła na klapsa. Zawołałam głośno: „Anna!”. Ludzie mijali mnie, nie patrząc, alejki były zatłoczone i nagle ci wszyscy anonimowi klienci przerodzili się w zapowiedź niebezpieczeństwa. Jakieś typy o podejrzanym spojrzeniu, ogromne kobiety, które zjadają małe zagubione dziewczynki, rozbrykane dzieciaki, które ją pobijają, jacyś krostowaci, którzy wcisną ją do kąta, będą jej grozić albo jeszcze gorzej. Co ja zrobiłam? Zostawiłam wózek i zaczęłam wołać jeszcze głośniej: „Anna! Anna!”. Nigdzie jej nie było, podskakiwałam, żeby dojrzeć ją ponad głowami ludzi, schylałam się do samej ziemi, dotykając policzkiem zimnej brudnej podłogi, aby dostrzec jej czerwone buciki, prezent od Madeleine. Zgubiłam dziecko, żadna matka czegoś takiego nie robi. Pytałam na prawo i lewo: „Czy widzieliście dziewczynkę z jasnymi włosami w czerwonych bucikach?”. Nawet nie pamiętałam, w co była ubrana, płaszczek niebieski czy żółty, dlaczego nie zwracam uwagi na takie rzeczy? Kłębiły się we mnie pośpiech, strach, poczucie winy, a także obawa najgorszego. Jacyś ludzie przystawali obok, ale ja nie słuchałam, wołałam córkę, nikogo nie słuchałam. Wydawało mi się, że długo już tak jej szukam, a tu nagle zatrzeszczał megafon i w całym supermarkecie rozległ się głos: „Mała Anna czeka na mamę w recepcji. Mała Anna czeka na mamę w recepcji”.

W tym momencie poczułam taki przyływ adrenaliny, jaki miewałam na początku biegu, kiedy byłam młoda i z powodzeniem startowałam w sprincie. Rodzaj tej determinacji sprzed lat. Odwróciłam się i pobiegłam, jakbym miała piętnaście lat. Jestem pewna, że tego dnia osiągnęłam



najlepszy wynik, bez konkurentów, po to, by odnaleźć córkę. Moje stopy ledwo dotykały ziemi, biegłam slalomem między wózkami, omijając dziesiątki dzieci, niczego nie zrzuciłam, gnana jakąś tajemniczą energią.

Była w recepcji, z mokrymi policzkami, z palcem w buzi. Rzuciłam się, żeby chwycić ją w ramiona, uściskać, przeprosić, prosić o wybaczenie, ale nagle jakiś wielki typ, którego nie zauważyłam dotychczas, zatrzymał mnie swoimi olbrzymimi łapskami. Tubalnym głosem, naturalnie tubalnym, spytał:

– Kim pani jest?

– Ależ... jestem matką tej małej, matką Anny. Miał na sobie zieloną marynarkę, coś w rodzaju ohydneho blezeru ze sztucznej tkaniny, która szeleściła przy każdym ruchu rąk. Odgrodził mnie od córki swoim potężnym cielskiem. Jedną ręką trzymał mnie za ramię, odwrócił się, żeby popatrzeć na Annę, potem spojrział na mnie, raz, drugi, po czym odsunął mnie tak, jakby odpychał jakąś podnieconą *groupie*, i wtedy rozległ się jego gruby, oczywiście gruby, głos:

– To niemożliwe.

– Słucham?

Nie poznałam swojego własnego głosu, wysokiego, ostrego. Spokojnie powtórzył, patrząc mi w oczy, tak jak ja przed chwilą, kiedy groziłam Annie najmocniejszym w jej życiu klapsem. Powtórzył, cedząc słowa, jakby mówił do debilki:

– Proszę pani, to niemożliwe.

To niemożliwe? Nigdy jeszcze nie wpadłam w taką wściekłość, ręce same wyrywały się, żeby go spoliczkować, żeby walnąć tam, gdzie najbardziej boli, wydawało mi się, że jestem w niebezpieczeństwie, że on

mi grozi. Czułam w sobie jakąś nadnaturalną siłę, wzbierającą we mnie, siłę męską, coś, czego nigdy dotychczas nie doświadczyłam, wobec tej siły nic nie mogłoby stanąć mi na przeszkodzie. To niemożliwe.

Rzuciłam się na niego, usiłowałam złapać Annę, serce mi waliło, oczy były pełne łez, nie mogłam temu zaradzić, wrzeszczałam:

– Proszę mnie puścić, proszę mnie puścić!

Zrobił się tłumek, ale ja się tym wcale nie przejęłam i wtedy Anna podeszła bliżej i swoim spokojnym głosem powiedziała:

– To moja mamusia.

Byczysko uklękło przed nią i poprosiło, żeby powtórzyła, co też Anna ze spokojem zrobiła:

– To moja mamusia.

W ciągu jednej minuty usłyszałam najgorszą zniewagę i najpiękniejsze zdanie w moim życiu. Anna podeszła do mnie, wsunęła swoją drobną wilgotną rączkę w moją dłoń i wtedy dostrzegłam to, co zobaczył strażnik: płaczącą blondyneczkę o kręconych włosach, delikatnej cerze zaczerwienionej ze złości, małą Francuzkę i rozhisteryzowaną śniadą kobietę o czarnych włosach, jakąś cudzoziemkę. Podniosłam Annę, objęła mnie rękami, ukryła twarz na mojej szyi, mocno mnie ścisnęła, tak mocno, jak tylko potrafiły to zrobić jej małe rączki zagubionej dziewczynki, nóżkami objęła mnie w talii, nasze ciała ściśle do siebie przylegały, wydawała mi się taka lekka, jakbym była stworzona wyłącznie do jej noszenia i do niczego innego.

Goryl w blezerze z syntetycznej tkaniny zaczął bełkotać coś na przeprosiny, ale przerwałam mu pierwszą lepszą obelgą, jaka mi przyszła do głowy, a przecież prawie nigdy nie przeklinam, zwłaszcza w obecności

Anny. Cedziłam sylaby, tak jak on przed chwilą:

– Oddieprz się, kutasie.

Do domu wróciłyśmy taksówką, nawet nie dokończyłam zakupów. Kupiłam jej tylko cukierki, trzy torebki. Wieczorem zaprosiłam Madeleine, zrobiłam panierowaną rybę, a dla Anny pływające lody: jej ulubione danie. Zapaliłam świece, Madeleine nastawiła muzykę. Anna dużo się śmiała tego wieczoru, jej jasne włosy lśniły w świetle świec, miałam ochotę długo płakać z twarzą ukrytą na jej ramieniu. W nocy nie zmrużyłam oka, wstawałam, żeby pójść do jej pokoiku popatrzeć na nią, sprawdzić, czy na pewno jest, moja córeczka, moja własna córeczka, rozkoszna, słodka Anna. Dotykałam jej, jakby była kruchą laleczką, chciałam paść przed nią na kolana, prosząc o przebaczenie za groźby, za klapsa, za to, że na chwilę ją zgubiłam.

Następnego dnia rano postanowiłam wyjechać, przeprowadzić się z Paryża do jakiegoś mniejszego miasta, gdzie mogłabym się ukryć z moją córką, bardzo też chciałam, żeby miała coś po mnie. Mój magazyn miał filię w Lyonie, w niecałe pięć miesięcy urządziłam się tutaj, w naszym mieszkaniu nad Saoną. Anna nie protestowała. Z pozycji swoich sześciu lat wiedziała, zdawała sobie sprawę, że incydent w supermarkecie mnie zranił. Starła się być grzeczna, posłuszna, starannie pakowała swoje rzeczy do pudeł, a sześć miesięcy po naszym przybyciu do Lyonu włosy zaczęły jej ciemnieć.

Więc dzisiaj, kiedy ma taką bladą twarz pod woalką, tak bardzo francuską, po tej pięknej, lecz jakiejś nierzeczywistej ceremonii jak na błyszczącej fotografii, obawiam się, czy nie będzie zupełnie inna niż ja, do tego stopnia, że ludzie odsuną mnie od niej, bo będę już tylko jakąś

cudzoziemką o śniadej cerze. I odtąd będę spędzać czas na czekaniu, aż Anna mnie uratuje i powie wszystkim: „To moja mamusia”.

Ceremonia kończy się oklaskami, jak dobry koncert. Siedzący obok mnie Yves mocno klaszcze w dłonie, jest wzruszony, słyszę „hurra, hurra, niech żyją państwo młodzi”, nie wiedziałam, że jeszcze panuje taki zwyczaj. Anna uniosła woalkę, odrzuciła ją do tyłu, wygląda jak w wianku, goście rzucają płatki róż i ziarenka dmuchanego ryżu. Moja córka przystaje obok, całuje mnie, chciałabym przytrzymać ją dłużej w ramionach. Ale już otaczają ją ze wszystkich stron, mąż ciągnie ją za rękę, inni chcą ucałować pannę młodą, więc muszę ją puścić. Panuje wesola ogólna kakofonia, w której nawet Yves bierze udział. Podskakuje z radości, bez przerwy rzuca kwiaty, gwizdże jak kibic piłki nożnej, nigdy go takiego nie widziałam. Odwraca się do mnie, bierze mnie za ramiona i robi głośny cmok na moich ustach. To właśnie jest szczęście, zostaliśmy wciągnięci w wir radości wywołany weselem, wszystko inne odsuwamy na bok, jesteśmy dziećmi, tylko dziećmi.

Ja także się śmieję, też jestem częścią tej uroczystości, szukam dmuchanego ryżu, tu niedaleko stał koszyk, znajduję go i robię to co inni: krzyczę „hurra”, rzucam ziarenka ryżu, zdaje się, że krzyczę też „niech żyje młoda para”; kiedy nie mam już ryżu, klaszczę ze wszystkich sił. Anna patrzy na mnie i cudownie się uśmiecha, jaka ona piękna, serce przepelnia mi duma nieporównywalna z niczym, jestem jej matką, ma tylko jedną matkę, znowu klaszczę. Nie przychodzą mi do głowy żadne ironiczne myśli, żadne mieszane uczucia, nie czuję się głupio, choć raz moje ciało jest jednością z duchem.

Później państwo młodzi wsiadają do pięknego jaguara koloru śliwki,

aby udać się na przejażdżkę po okolicy, chętni do utworzenia orszaku mogą usadowić się w innych autach. Yves ciągnie mnie za ramię, ale ja odmawiam, raczej zostanę tutaj, nawet Evelyne w różowym kapeluszu miota się na wszystkie strony, w końcu wsiada do pierwszego nadjeżdżającego samochodu. Siadam, w miarę jak na skraju lasu zapada cisza, czuję się dziwnie głupio, że zostałam. Radosny wir odpłynął, z własnej woli mu się oparłam, nie dopuściłam do siebie. Dlaczego nie pojechałam ze wszystkimi? Dlaczego przestałam wykrzykiwać, aby mój głos nazajutrz nosił ślady wielkiej radości z powodu ślubu córki? Oto jak pełźnie za mną, jak zawsze, żal, że przeoczyłam pewien moment, gdy moja udreńczona, pokręcona dusza znowu za wiele sobie pozwala.

Kilkoro nienagannie ubranych młodych ludzi przygotowuje bufet do pierwszego toastu, zanim goście zasiądą do stołu. Ciągłe tkwię przed pustym ołtarzem, uświadamiam sobie, że nawet pastor za nimi pojechał, i to mnie rozśmiesza. Staram się nie patrzeć na las, wiem, że nie jest zbyt gęsty, ale pociąga mnie od chwili, gdy go ujrzałam, towarzyszy mi bez przerwy. Wiem, że jeśli za bardzo się na nim skupię, całkowicie mnie pochłonie i na tym dzień się dla mnie skończy. Patrząc na niebo, które zdaje się okryte takim samym cienutkim woalem jak Anna, czuję na twarzy chłodny wiaterek. Słyszę kroki, ktoś siada na krześle za mną.

– Pani nie pojechała?

To tata Alaina, poznaję jego głos jak głos kogoś znanego mi od zawsze. Dotykam głową oparcia krzesła, kok się trochę spłaszczył, mam przymknięte oczy. Nie odpowiadam, może myśli, że drzemię, bujając w obłokach. Po całym tym zgiełku jego regularny oddech jest ukojeniem, trochę mnie uspokaja. Siedzi nieruchomo. Uchylam powieki, przez rzęsy

niebo jeszcze bardziej się zasnuwa, na twarzy czuję pieśczoć wiatru.

Powoli unoszę rękę za głowę, zaczynam wyjmować spinki, czuję, jak kok się rozluźnia, włosy się rozpuszczają, wyjmuję ziarenka ryżu, moje długie czarne włosy opadają na krzesło. Długo je poprawiam, żeby rozprężyły się i zapomniały o uwięzieniu. Wiem, że na mnie patrzy, ale ten gest nie był zaplanowany. Czuję się tak dobrze, że mogłabym zdjąć buty, podciągnąć sukienkę, żeby wiatr ochłodził mi nogi. Jego oddech jest spokojny, nagle czuję jego dłoń w moich włosach. Nie kładzie jej na nich, nie, zanurza palce delikatnie, aż dotyka szyi. Potem gładzi, jak grzebieniem, do samego dołu, ponawia ten ruch dwa czy trzy razy, delikatnie, rozczulająco, starannie, a ja czuję to aż tu, w brzuchu. Czuję rozchodzące się po głowie rozkoszne mrowienie sięgające szyi, w jego palcach moje włosy są jak z jedwabiu. Jego czarodziejskie palce w moich włosach. Powoli się prostuję, odwracam w jego stronę, ma nieobecny minę, wzrok utkwiony gdzieś w dali. Jest między nami jakieś nieuchwytnie pożądanie, otacza nas coś nieokreślonego, coś, co nadaje sens tym chwilom, których tak się obawiałam.

– Jest pani piękna z uwolnionymi włosami.

Nie mówi „z rozpuszczonymi włosami”, lecz „z uwolnionymi”. Zdjął krawat, prawdopodobnie upchnął do kieszeni, trochę rozchylił koszulę, a ja widzę trzy znamiona w okolicy lewego obojczyka. Trzy, rozrzucone jak ziarenka ryżu, rozproszone, zagubione, czekające, aż ktoś się nimi zajmie, pocałuje, popieści. W tej chwili myślę, że dałabym wszystko, aby dowiedzieć się, czy ma na ciele jeszcze inne znamiona, i czy zanim skończy się wesele Anny, będę się kochać z tym mężczyzną.

To nie jest moja decyzja, to nie jest cel, jaki sobie stawiam, do którego

zmierzam, , po prostu moje ciało tak postanowiło, wypowiedziało to zdanie, z całym spokojem, jak jakąś oczywistość. Zapominam o Annie, o obietnicy, jaką jej dałam, że w ten dzień będę godna, budząca szacunek. Nie wiem, jak to zrobię, nie myślę o tym, wiem, że tak będzie, i tyle. Rzadko kiedy miałam taką pewność. Pisanie to jedna pewność, miłość do Anny druga, ale wszystkiego innego, co dotychczas zrobiłam, nie byłam pewna, nie dałabym sobie za to ręki uciąć, jak mówią. Czasem myślę, że pewnego dnia ktoś uzmysłowi sobie, że jestem zwykłą oszustką, że nie potrafię pisać, nie umiem wychowywać dziecka, zatrzymać przy sobie mężczyzny, prowadzić domu, że nie mam własnego zdania i to wszystko jest palcem na wodzie pisane. Kiedy odkryją tę całą maskaradę, będę już tylko kimś na kształt kobiety koloru kawy z mlekiem, z czarnymi włosami, zagubionej w mieście, żyjącej bez celu, bez ideałów, bez dzieci, bez książek.

Na razie wszystko, co mam, wisi na jednym włosku. Anna? Odchodzi, już odeszła, prawda? Moje książki? Nic wielkiego. Nie potrafię napisać wielkiej sagi, która sprzedawałaby się w milionach egzemplarzy, którą zaadaptowano by na scenariusz filmowy, której dalszego ciągu wszyscy by oczekiwali. Moje książki odnoszą umiarkowany sukces, mniej więcej taki sam przy każdej kolejnej, tak jakbym ciągnęła za sobą barcę pełną stałych wiernych czytelników, aniołów stróżów, którzy chcą mnie zachować wyłącznie dla siebie, nie dopuszczając innych chętnych. Moi czytelnicy? Ludzie zwykli, powściągliwi jak ja. Bardzo często chodzę na odczyty lub spotkania dyskusyjne z pisarzami, których lubię. Zawsze zaskakuje mnie entuzjazm czytelników, którzy potem podchodzą, żeby pocałować autora, wziąć go za rękę, przedstawić mu tego czy tamtego, coś powiedzieć, a



potem głośno się śmiać, żartować, wymieniać adresy, obiecywać sobie: „Zadzwonimy i pójdziemy razem coś zjeść”. W moim przypadku jest zupełnie inaczej. Ci, którzy mnie słuchają, robią to z najwyższą uwagą, ja się nie spieszę, oni też nie. Daję im czas, tak jak i oni mnie. Potem proszą o dedykacje w książkach, przynoszą poprzednie powieści, coś szepczą, nigdy mnie nie całują, nie wymieniamy żadnych żartów, podajemy sobie ręce, mówiąc do widzenia, po czym odchodzą z książką w torbie. Dzieli nas niewidzialna linia, której ani oni, ani ja nigdy nie przekraczamy, jakaś powściągliwość, rezerwa. Jestem kobietą piszącą książki, które oni lubią czytać, najważniejsze tu są książki, a nie kobieta.

Wiem na przykład, że tata Alaina nic mojego nie czytał, w przeciwnym bowiem razie nigdy by się do mnie nie zbliżył ot tak sobie, i o to właśnie chodzi. Nigdy nie mogłabym pójść z nim do łóżka. Mówię to tak, jakby to już się stało, jakbyśmy za obopólną zgodą zawarli jakiś układ, a jednak nie wiem, o czym on teraz myśli, w tej chwili, gdy tak siedzimy naprzeciw siebie, on znów opiera ręce na swoich kolanach, a ja całym ciałem opieram się o krzesło. Za mną jakieś wyśnione życie, ołtarz i płótno łopoczące na wietrze, las, dolina, niebo. Za nim przygotowywany właśnie bufet, kilku zagubionych gości, zamek. I pomiędzy tym wszystkim my, zatopieni w ciszy.

– Nazywam się Roman.

Mówi: Roman, a ja słyszę: romans, słyszę: Rome, Włochy i wiatr poruszający cyprysami w Toskanii.

– Sonia.

Widzę, jak obraca na języku moje imię, powtarza je, ale nie słysząc żadnego dźwięku. Uśmiecha się, a ja jestem mu wdzięczna, że w takim

momencie nie pyta, skąd pochodzę. Bo w gruncie rzeczy zawsze ta kwestia powraca. „Skąd pani pochodzi?”. Cóż odpowiedzieć na takie pytanie, tak banalne, tak niedyskretne? O co właściwie chodzi w takim pytaniu? Na pewno o kraj, w którym się urodziłam, ale jeśli więcej lat spędziłam na obcej ziemi niż we własnej ojczyźnie, to jakie jest naprawdę moje pochodzenie? Czy powinnam zamknąć się na mój obecny kraj, pozostać w płynie płodowym rodzinnych stron, o których śnię, bo miejsce pochodzenia ma zawsze w sobie coś pięknego, wspaniałego, czystego jak górskie źródło. Dla innych, dla tych, którzy zadają to pytanie, powinnam być dumna ze swojego pochodzenia, mieć błyszczące spojrzenie, łezkę w oku, głęboko wzdychać, powinnam żałować, że moje życie w rodzinnych stronach jest tylko odległą przeszłością, ale nie wolno mi – jeśli nie chcę uchodzić za osobę wyzuta z wszelkich uczuć – wypierać się własnych korzeni.

Kiedy Roman na mnie patrzy, chcę być uwodzicielska, uwiedziona, po prostu chcę być kobietą. Mam ochotę mówić mądre rzeczy, pozostawać sobą, ale nie za bardzo, chciałabym być dla niego piękna, pociągająca, ale tego nie można mieć na zamówienie. Mam czterdzieści dwa lata i po raz pierwszy w życiu zastanawiam się, co trzeba zrobić, żeby wzbudzić w mężczyźnie pożądanie. Muszą być na to sposoby, określone gesty w odpowiednich chwilach, jakiś wzorzec kobiecości, wdzięku, coś, co by zadziało niczym jakiś szatański aromat. Nigdy mi się to nie zdarzyło, moi kochankowie zawsze byli kolejnym przypadkiem, a przynajmniej tak ich dotychczas postrzegałam. Spotykamy się, rozmawiamy, czujemy do siebie sympatię, bez specjalnego wysiłku ponawiamy spotkanie i idziemy do łóżka. Po czym się rozstajemy, nie mówiąc sobie nic szczególnego, no

bo tak już jest. Nigdy mi się to nie zdarzyło, taka przygoda jednego wieczoru, seks dla seksu, bez żadnych zamiarów, bez planów, tu i teraz, za drzwiami, rozkosz trochę zbyt intensywna, nic sobie nie robimy ze spojrzeń. Od czasu Matthew zawsze uważam, żeby się nie przywiązać, nie zakochać, nie mieć takich marzeń ani nadziei. Zdarza mi się przeżyć ponad rok bez mężczyzny, a od pewnego czasu najbardziej smuci mnie fakt, że nie seksu mi brakuje, lecz czyjejs obecności przy mnie. Spokojnej obecności, kogoś, kto by mnie głaskał po policzku wtedy, gdy piszę, kto czasem przyniósłby śniadanie do łóżka. Mężczyzny, do którego żywiłabym jeszcze pożądanie, nie czułabym przy nim skrępowania, no, może tylko przymknęłabym trochę oczy. Takie rozważania są smutne, tragicznie romantyczne i niestosowne u kobiety w moim wieku, wręcz staroświeckie, bo podświadomie oddaliłam myśl, że coś jeszcze może mi się przydarzyć, jakaś miłość, która powala w nieoczekiwany sposób, nowo poznany mężczyzna, którego potem bardzo brakuje i nie wiadomo dlaczego tak się dzieje. Mam czterdzieści dwa lata i pragnę jednego: uczucia pełnego spokoju, ale wiem, że coś takiego przychodzi dopiero po latach wspólnego życia, po latach wzajemnego zrozumienia, kiedy miłość nie podlega zmianom zachodzącym w ciele. Nie można tego przecież żądać od przelotnego kochanka...

Więc kiedy narasta we mnie ukryta chęć przespania się z ojcem Alaina, trochę mnie to zaskakuje, ale nie chcę o tym myśleć. Chcę myśleć o nim, chcę myśleć o mnie, chcę myśleć o nas razem, jak przed chwilą. Chcę jeszcze wierzyć, że mogę dla mężczyzny być piękną kobietą spotkaną na weselu.

Samochody hałaśliwie nadjeżdżają aleją. Państwo młodzi wysiadają, z rumieńcami na policzkach, niektórzy goście spieszą do bufetu. Anna szuka mnie spojrzeniem, widzę ją stąd, z krzesła, na którym siedzę nieopodal ołtarza, na skraju lasu. Uśmiecha się do wszystkich wokół, nieustannie, tak jakby ten uśmiech zawisł na stałe na jej twarzy, ale mimo wszystko to nie jest sztuczny uśmiech. Zastanawiam się, ile razy powtarzała sobie tę scenę przed owym dniem dwudziestego pierwszego kwietnia. Czy spodziewała się emocji, które będzie tu i teraz odczuwać. Chciałabym, żeby ze mną porozmawiała. Czy czuje mocniejsze bicie serca, zatrzymuje się dłużej nad jakąkolwiek myślą wpadającą jej do głowy? Czy to wszystko przekracza jej oczekiwania, czy może im nie dorównuje? Anna pozwala się całować, podziwiać, goście dotykają jej sukni, biorą za rękę, ale ona szuka mnie, znam to spojrzenie, ten narastający w niej niepokój, początek rozdrażnienia, które tłumi, myśląc: „Gdzież ona znowu się podziewa? Co ona robi?”. Szepcze coś do stojącego obok niej Yves’a, on wzrusza ramionami. Nagle odwraca się w stronę lasu i dostrzega mnie, siedzącą spokojnie, z ręką na oparciu krzesła, bez papierosa, bez szklanki w dłoni, samą, bo Roman wstał na przyjęcie młodej pary, gdy tylko usłyszał klaksony samochodów dochodzące od strony szosy. Anna przeciska się pomiędzy gośćmi, podchodzi do mnie. Czuję się dumna, nie zrobiłam niczego złego, zaraz mi powinszuje, że siedzę tu grzecznie, spokojnie, ale nie.

– Co zrobiłaś z kokiem?

To pytanie jest jak mur, na który gwałtownie wpadam. Odpowiadam

sucho, że na razie mogę robić z moimi – ; mi włosami, co chcę. Patrzy na mnie trochę zaskoczona, a ja oczywiście na tym nie poprzestaję, muszę się usprawiedliwić. Nie mogę tak po prostu dać się ponieść złości, nieuzasadnionej irytacji, jedynie z racji matczynego autorytetu, nie, muszę znaleźć coś sensownego, logicznego, jak dwa plus dwa jest cztery. Mówię jej, że kok ciążył mi na karku i że zaczynała mnie boleć głowa. Spojrzenie Anny nieco mięknie; a jednak widzę, że nie jest zadowolona z tego pierwszego faux pas. Dla niej to zapoczątkuje całą serię; rozpuszczony kok jest podstawieniem nogi całej uroczystości zorganizowanej jak przemarsz wojska, nic nie może wystawać, takie rozpuszczone włosy otwierają drogę do nie wiadomo jakich dalszych potknięć i kiksów, mogą przyciągnąć tysiące innych przeszkód, które zepsują ten jej dzień. Wiem, że taka właśnie jest, że nienawidzi niespodzianek, rzeczy niezaplanowanych, przecież dała mi listę, duże A, małe a, duże B, małe b, wszystko pod linijkę, chronologicznie, z przypomnieniami i odsyłaczami w formie gwiazdek, jasno zrozumiałymi nawiasami, żebym nigdy, w żadnym momencie, nie mogła się zagalopować, zrobić czegoś nieodpowiedniego, niepotrzebnego, nieoczekiwanego, bo przecież wszystko wyznaczają wielkie A, wielkie B i gwiazdki. Niemal surowo mówi, żebym przyszła na toast, więc wstaję, posłuszna mojemu dziecku. Nie jestem z siebie zbyt dumna, z mojego braku charakteru, ze sposobu, w jaki w ostatniej chwili zmieniam reguły, żeby tylko nie doszło do konfliktu.

Przy bufecie spotykam Yves'a, który rozmawia z młodą kobietą, jak się zdaje, bardzo zainteresowaną pracą wydawcy. Jej ramiona są szczupłe, delikatne, ma krótko przycięte włosy, popielato-blond, a z profilu

przypomina Jean Seberg. Jest ubrana w suknię, której gorsecik niepotrzebnie uwypukla jędrne młode piersi. Jędrne piersi, czy ona zdaje sobie sprawę, jakie ma szczęście? Czy w dostatecznym stopniu zdajemy sobie sprawę, z młodzieńczych złudzeń, z naszej gładkiej twarzy bez zmarszczek, z silnego napiętego ciała i z tego, że wszystko kiedyś rozmięknie, zwiędnie, rozluźni się, zwiśnie, i niebawem my także będziemy się uciekać do rozmaitych forteli, aby zmylić trop – gorset trzymający brzuch, stanik o numer mniejszy, koronki i mostki, kremy ujędrniające, przeciwzmarszczkowe, peeling, róż do policzków, makijaż – to wszystko, z czego kiedyś drwiłyśmy i na co patrzyłyśmy z pogardą.

Młoda kobieta słucha Yves'a z głową przechyloną na bok. Podoba mu się, to widać ze sposobu, w jaki na nią patrzy, prosto w oczy, głęboko, jak przyciągany magnesem. Kiedy do nich podchodzę, Yves opowiada jej jakiś dowcip o autorze, który nie znał francuskiego. Kobieta wybucha śmiechem, jednocześnie kładzie rękę na klapie jego marynarki, pochyla się trochę do przodu i przysuwa do niego. Może to właśnie są zaloty, uwodzenie. Tak właśnie trzeba się zachowywać, żeby przytrzymać mężczyznę. Yves jest trochę zarumieniony, dostrzega mnie, już otwiera usta, ale ja nie mam zamiaru odrywać go od tych miłosnych płaśów, więc kładę palec na ustach i uciekam na czubkach palców, biorąc po drodze kieliszek szampana. Muzycy siedzą teraz na tarasie i grają stare piosenki, aby pokryć trochę sepią tę religijną ceremonię. *You Are My Sweet Valentine; You Look Wonderful Tonight; Strangers in the Night; Uke a Bridge ovei Troubled Water; Smoke Gets in Your Eyes...*

Zmieniło się światło: niebo różowieje, dolina miejscami się rozjaśnia, las jakby gęstnieje, przybliża się. Rzucam okiem do tyłu, ale nikt na mnie

nie patrzy, nikt nie zwraca na mnie uwagi, Roman rozmawia z Anną, trzymając za ramię syna, Yves jest ciągle skoncentrowany na swojej laleczce, inni tworzą pary, grupki, muzycy grają z trochę śmieszną powagą; gdyby grali w Salzburgu, mieliby takie same nieprzeniknione twarze, świadome, tak bardzo świadome swego talentu. Odrywam się od tego skrzeczącego tłumku, od brzdęku szkła i śmiechów, powoli idę w stronę czarnych gęstych zarośli. Las okrywa całe wzniesienie wiodące do zamku, otacza go dolna część alei. Okrażam ołtarz, tak jakby to była jakaś świętość, odruchowo sprawdzam, czy mam w torebce papierosy, i zagłębam się w las. Na początku drzewa są od siebie oddalone, tak że mogę rozłożyć ramiona. Panuje wilgoć, ziemia jest niemal mokra, zagłębam się dalej, mówię sobie, że przecież na pewno nie zabłądzę, w najgorszym razie znajdę się na samym dole zbocza, i tyle. Robię jeszcze parę kroków, a kiedy się odwracam, widzę już tylko drzewa, nic więcej. Świerki o chropowatych, łuszczących się pniach, igły na ziemi, mech pod drzewami. Otoczona tym wszystkim zapalam papierosa. Nie boję się, drzewa dają mi gęstą zasłonę, której zwykle nie mam, nigdy nie miałam, tarczę przed hałasem, przed rozmowami pozbawionymi wszelkiego sensu, w języku angielskim istnieje doskonałe wyrażenie – *smali talk*. W miarę jak wdycham dym, powoli ogarnia mnie smutek. Myślę o Annie, o jej mężu, którego kocha i jak jej się zdaje, będzie kochać zawsze. Sama jestem zaskoczona tym, że jej troszeczkę zazdroszczę, że podziwiam to ryzyko, które podejmuje, wychodząc za mąż. Ja przez całe życie się powstrzymywałam, a przed chwilą, przy Romanie, poczułam się zupełnie inna. Inna ja, która przytłumiła tamtą i która przez chwilę poczuła, że natychmiast musi się uwolnić. Inna, która podejmie ryzyko.

Kiedy otaczający mnie ludzie zorientują się w końcu, że mam dorosłą córkę, którą sama wychowałam, teraz już kobietę, piękną, w pełnym rozkwicie, ci ludzie, jak sądzę, zaczną mnie trochę podziwiać, zaskoczeni odwagą tej małej cudzoziemki. Ale prawda jest taka, że ja wcale nie miałam wrażenia, że podejmuję jakiegokolwiek ryzyko. Wręcz przeciwnie, gdy rosła we mnie, czułam, że dodaje mi otuchy, oparcia, wiedziałam, że odtąd, z dzieckiem u boku, cokolwiek zrobię, zawsze będę gdzieś zakotwiczona. Że nigdy całkiem nie odpuszczę, że w chwilach głębokiego osamotnienia i przygnębienia nie będę chciała skończyć ze wszystkim, zasnąć, więcej się nie obudzić. W końcu Anna jest owocem mojej wyobraźni i moich głębokich pragnień. Nigdy nie widziałam tak grzecznego dziecka, tak spokojnego, tak świadomego swojej odpowiedzialności wobec mnie, matki. Tak jakby bardzo wcześnie zorientowała się, że wydałam ją na świat, aby się w nim zakorzenić, żeby wydorosnąć, stać się dorosłą w oczach innych, aby mieć cień, w którym będę mogła się schronić.

Ziemia pod moimi stopami jest jakby ruchoma, zapewne z powodu zwiędłych, gnijących liści. Nie mogą wyschnąć, słońce prawie tu nie dochodzi, starzeją się w półmroku, wiotczeją jak my, tracą wodę, soki i w końcu rozkładają się, wydzielając słodkawy fetor. Tutaj, w tym pełnym wilgoci świecie, gdzie to, co nieżyjące, karmi wszystko, co żyje, żałuję, że nigdy nie podejmowałam większego ryzyka. Że nie byłam z mężczyzną tak do końca. Dlaczego teraz o tym myślę, ja, entuzjastka życia w pojedynkę, prawie niczemu i nikomu nieufająca: może tylko Annie, moim książkom i mojej ograniczonej przestrzeni, w której wszystko znam. Tak naprawdę zazdroszczę kobietom noszącym obrączkę i pierścionek z



dużym kamieniem na tym samym palcu, które twierdzą, że mężczyzna jest do nich przywiązany. Powinnam była to zrobić, zamieszkać z kochającym mężczyzną, wieść z nim spokojny żywot, narażać się na niebezpieczeństwa życia codziennego, jeździć do supermarketów na peryferiach po meble, dobierać różne drobne bibeloty na półeczki, żeby potem na nie patrzeć i przypominać sobie, że kupowaliśmy je we dwoje. Powinnam była nauczyć się traktować mężczyznę jak punkt odniesienia, umościć sobie miejsce przy tym jakże innym ciele, które często łączyłoby się z moim, dając uspokojenie. Powinnam była postarać się zatrzymać mężczyznę, stworzyć z nim jakąś historię, obudzić w nim pragnienie pozostania ze mną, nie obnosić się przed nim z moją nieprzeniknioną twarzą, nieobecnyimi słowami, niekiedy przykrymi. Powinnam była podjąć to ryzyko, tak naturalne dla większości ludzi, a tak przerażające dla mnie.

Znam siebie dobrze i wiem, że nieustannie oczekiwałam przegranej. Czekałam na chwilę, w której wszystko się chwieje, gdy miłość ucieka przed sobą samą jak z dziurawej kadzi. Czekałam na dzień, kiedy przechodząc obok mojego mężczyzny, nawet nie pomyślę o tym, żeby pogłaskać go po włosach, dotknąć ramienia, musnąć, nie dlatego, że miałabym do niego wstręt, ale dlatego, że po prostu nie miałabym takiej potrzeby z powodu jego stałej przy mnie obecności. Oczekiwałam niewyraźnego, niejasnego rozgoryczenia, którego źródła nie potrafiłabym wyjaśnić. Miałabym bardzo mieszane uczucia, mdłe jak przegotowana zupa, nie odczuwałabym jego braku ani radości na jego widok, miałabym otwarte oczy, kiedy we mnie wchodzi, bo nic by mnie nie zaskakiwało w seksie z nim, nie byłoby już tego cudownego uczucia niecierpliwości, kiedy dwa ciała szukają się i stykają ze sobą. Letniość, tego właśnie się

boję, jestem przekonana, że w miarę oczekiwania na nią, czyhania, w końcu ją sprowokuję i wtedy staniemy się bratem i siostrą żyjącymi w kazirodztwie.

Nie wiem, jak długo tu jestem, w cieniu drzew, przepelniona ich leśnym zapachem, nieruchoma, tak nieruchoma, że owady nawet nie zwracają na mnie uwagi. Robaczki wypełzają spod liści, mrówki powracają do swoich zajęć, słyszę szelesty i trzaski, jestem jedną z nich, już się do mnie przyzwyczyły. Powrót do ludzi wydaje mi się ponad siły, musiałabym znowu stawić czoło śmiechom, gestom, jedzeniu, dlaczego przychodzi mi to z takim trudem? Jednak ruszam w drogę powrotną, boję się trochę, że mnie szukają, nie chciałabym zepsuć tego dnia. Obcasy zagłębiają się w ziemi i w wilgotnych liściach, mam wrażenie, że coś mnie tu zatrzymuje, ale mimo to idę.

Jest w tym całe moje życiowe niezdecydowanie, w tej właśnie chwili, gdy ciało chce pozostać w cieniu, ale ja nie chcę go słuchać, nie mogę go posłuchać. Tak jak w koszu z brudną bielizną, na który nie chcę patrzeć, upycham żale, wyrzuty sumienia, pragnienia, upycham, upycham, upycham, przymykam oczy, zatykam uszy, zaciskam usta, zamykam się na seks.

O siódmej siadamy do stołu w dużej sali na parterze udekorowanej bibułkami barwy morelowej. Na stołach w małych aluminiowych wazonikach stoją czerwone maki i gipsówka. Obrus jest biały, lśniący, szeleści, kiedy dotykam go palcami. Anna wygląda jak włoska madonna w białej sukni, z ciemnymi włosami. Rzuci mi spojrzenia, niekiedy z ukosa, pilnuje mnie, więc trzymam się dzielnie, w pełnej gotowości, uśmiechnięta. Myślę, że nikt nie zauważył mojej eskapady do lasu. Może to mi się tylko śniło, może zniknęłam tylko na kilka minut, a mentalnie wydłużyłam czas spędzony w cieniu lasu. Anna podchodzi do mnie, delikatnie obejmuje mnie w talii, szepcze: „Wszystko w porządku, mamo?”. Jej palce na moim brzuchu, jej ciało ze swym ciepłem obok mnie, delikatna tkanina sukni przy moim ramieniu, otacza mnie jej zapach, jakże ja kocham moją córkę w tej chwili, jak ja ją kocham. Kiedy nosiłam ją w brzuchu, zastanawiałam się, jakim rodzajem miłości ją obdarzę. Czy będę ją kochać tak, jak by chciała? Czy będę wystarczająco czujna, aby zmienić się w odpowiednim momencie, tak żeby była zadowolona z mojej miłości? Czy ta niezdarna miłość oddali ją ode mnie? Czy zrozumie, że kocha się taką miłością, jaką zostało się samemu obdarzoną? Stoimy tak przez dłuższą chwilę, a ja mówię jej, jak bardzo ją kocham. Jest zaskoczona, czuję, że jej ciało trochę się napręży, drży, przytula mnie do siebie. Nie należałam do tych rodziców, którzy wyznają dzieciom uczucia, może dlatego, że moi rodzice mi tego nie mówili, może sądziłam, że już za dużo słów, im więcej, tym mniej są znaczące. Najwyraźniej nie miałam racji, wydawało mi się, że codzienne gesty, dowody, odruchy, wybaczenie

i kompromisy są więcej warte niż te słowa...

Anna mówi po dłuższej chwili: „Ja też cię kocham, mamó”. Od razu serce mi pęka jak bańka mydlana i następuje potop. Pełen napięcia dzień, dyscyplina, którą sobie narzucałam, wszystkie odżywające we mnie wspomnienia, mężczyzna, który zjawia się tak późno, tak późno, moja córka, która odchodzi... Oczywiście nie mam chusteczki, pochylam głowę, pociągając nosem, dwie ciemne plamy wypełzają mi na piersi, wstydę się, wszyscy na mnie patrzą, jestem tego pewna. Anna pochyła się nad stołem, bierze z talerza serwetkę złożoną majestatycznie jak mitra, jednym ruchem ją rozkłada i podaje mi.

– To przecież serwetka!

– Nieważne.

Tak dużą przyjemność sprawia mi jej beztroska, że płacząc, parskam śmiechem. A przecież to tylko gest bez większego znaczenia, wziąć pierwszą z brzegu serwetkę, ale ja wiem, że u niej każda rzecz ma swoje miejsce, swoje znaczenie, każdy szczegół jest częścią wielkiej konstrukcji, którą cierpliwie tworzyła, szkice, plany, cyfry. Ściśle określona liczba serwetek przypasowanych do takiej samej liczby talerzy, każda w takiej samej odległości, co do milimetra. Wydaje się, że czyta w moich myślach, bo nagle mówi spokojnym, poważnym głosem:

– Widzisz, mamó, w gruncie rzeczy nie tak bardzo się od ciebie różnię.

To zdanie będę słyszała przez całe życie. Tak jak teraz, stanie się synonimem wzajemnego porozumienia albo też czasem będzie znaczyło, że nie potrafiłam traktować jej jak własnej córki w przekonaniu, że jest inna niż ja. Ja, która tak złorzeczyłam na wszelkiego rodzaju wspólnotę, kolor skóry, włosów, w prosty i oczywisty sposób odsunęłam od siebie

własną córkę. Dlatego że ma jasną cerę, dlatego że lubi cyfry, porządek i notesy, bo chce wieść życie damy, bo w przeciwieństwie do mnie nie lubi niejasności i niedopowiedzeń. Chyba zapomniałam, że jest ukrytą częścią mnie, jest taka, jaka ja byłabym, gdybym pozostała z moimi rodzicami w pełnym słońca ciasnym kraju, kraju wspaniałym, rasistowskim, kraju, gdzie praca jest cnotą, a kłamstwo sztuką życia. Może gdybym nie czytała tylu książek, nie poznała Matthew, nie doświadczyła upojenia słowami biorącymi się znikąd, gdybym rozmyślnie nie zgłębiała tej mojej ciemnej strony, pustki, jaką w sobie noszę, może w końcu stałabym się Anną.

Ile czasu spędzamy na komplikowaniu sobie życia? Ile czasu trwonimy na zajmowanie się światem, naszym własnym wizerunkiem, pozorami i fałszywymi złudzeniami, a zapominamy pochylić się nad tymi, którzy są nam drodzy? Ileż wypracowaliśmy teorii na temat równości, tolerancji, ile razy dawaliśmy dowód zakorzenionego w nas – po zrzuceniu maski – rasizmu?

Kiedy wyschły łzy, uroczyście oświadczam Annie, że bardzo się cieszę, że usadziła mnie przy głównym stole. Uśmiecha się, przekomarza się ze mną, mówiąc, że lubię takie różne powiedzonka, zwłaszcza przymiotniki. Państwo młodzi, świadkowie, rodzice rzeczywiście są przy jedynym prostokątnym stole, naprzeciw innych gości, siedzących przy okrągłych stolikach. Od lewej do prawej: Yves, zarumieniony, czy to z powodu szampana, czy też silniejszego bicia serca po rozmowie z młodą kobietą; Evelyne, matka Alaina, ciągle w kapeluszu; Erie, świadek Alaina, pełniący rolę szofera; Anna, Alain, ja – matka panny młodej, i Roman – ojciec pana młodego.

On też tu jest, wydaje się, że ogląda swoje ręce pod stołem.

Zastanawiam się, jak też ja wyglądam. Unosi się z miejsca na mój widok. To kurtuazja starej daty, co jeszcze bardziej mnie u niego wzrusza. Kto jeszcze dzisiaj tak robi? Czy to nie było wspaniałe, gdy towarzyszący kobiecie mężczyzna unosił się z miejsca za każdym razem, gdy ona wychodziła albo siadała do stołu? To właśnie taki drobny szczegół, stanowiący zasadniczą różnicę. Mówi: „Pani płakała”. Uśmiecham się o wiele smutniej, niż bym sobie tego życzyła, podtrzymuje mnie za łokieć, kiedy siadam. Wokół nas inni goście także siadają, wstają, odsuwają krzesła, szurając, głośno się śmieją, nie wiadomo kogo wołają, i wtedy zdaję sobie sprawę, że tylko my dwoje siedzimy, Roman i ja. Dzielimy tę chwilę milczenia i myślę, że pierwszy raz zdarza mi się to z mężczyzną, którego dopiero co poznałam. To milczenie, w którym pozostajemy czujni, świadomi wrzawy panującej wokół, ale chronieni czymś magicznym. Nic do nas nie dociera, ale i nic nie umyka. Jest nam tak dobrze.

Odwracam się do niego, uśmiecham się, jego wzrok przez chwilę błądzi gdzieś w moich włosach, gdzieś między lewym uchem a ramieniem, w tej czarnej zasłonie, która nie pozwala patrzeć ponad ramię; czy myśli o tym, co było przed chwilą, a może o tym, co będzie potem, może ma ochotę mnie pocałować, nie tak jak jakiś debiutant ledwo dotykający warg, ale wgryzając się w usta jak w owoc, zostawiając w nich swoją ślinę?

Wbrew oczekiwaniu odzywam się pierwsza:

– Alain powiedział mi, że pan jest dziennikarzem.

– Tak powiedział? Hmm. To zabawne, jakie wyobrażenie o nas mają nasze dzieci, prawda? Byłem dziennikarzem, kiedy Alain był mały. Teraz żyję w Afryce.

Serce zabiło mi mocniej. Przez chwilę, krótką chwilę myślę, że mieszka

w Mali, że ma dom w Bamako, w tym mieście, do którego dwadzieścia trzy lata temu wyjechał – nie oglądając się za siebie – Matthew, tak jakby to miało rozświetlić ten dzień, jakby całe moje życie miało odnaleźć swoje miejsce, jak w wielkim puzzle, a ja mogłabym stawić czoło temu życiu. I wreszcie klamra wszystko by spięła, a ja mogłabym żyć moim życiem, tym, które jest tu i teraz.

Jednak nie, Roman mieszka w Kenii, w Zachodniej Afryce, być może u stóp Kilimandżaro, z dala od czerwonego kurzu i rzeki Niger przepływającej przez Bamako. Pracuje dla organizacji międzynarodowej.

– Ja pracuję w kobiecym magazynie.

– Tak? Anna mówiła, że jest pani pisarką.

Śmieję się na te słowa, jakby to był żart. Ciągle jeszcze nie wiem, które z moich dwóch zajęć jest moim zawodem. Jakie znaczenie nadaję słowu „zawód”? Jedno jest niezbędne, bo pozwala mi się umiejscowić, odpocząć, mieć jakieś obowiązki, uczestniczyć w życiu społecznym, wiedzieć, co się dzieje w świecie. Drugie jest ważne, bo pozwala mi uciec, uwolnić się, żyć własnym życiem, tworzyć inne życie. Wiele razy miałam ochotę odejść z redakcji, zwłaszcza od kiedy Anna nie potrzebuje już mojej pomocy finansowej, ale myślę, że w życiu poświęconym wyłącznie pisarstwu, a na pewno w moim, czai się szaleństwo. Kiedyś zdarzyło się, że byłam już tego bliska. Mniej więcej przed dziesięcioma laty. Anna spędzała swe pierwsze wakacje beze mnie u Yves’a i Caroline, w Bretanii. Ja wynajęłam dom w Wasserbourgu w Alzacji, w departamencie HautRhin. Oglądałam zdjęcia domu w gazecie, miał czerwony dach, to mi przypominało Cap Malheureux, pewne miejsce na Mauritiusie, które szczególnie lubię – niewielka plaża, skrawek piasku z rosnącą na nim

suchą trawą, właśnie to, czego ludzie nie lubią, bo nie mogą się tam rozsiaść, kościół z czerwonym dachem, odcinający się na tle błękitnego nieba, a w głębi zamykająca horyzont czarna skała, kamienista wysepka Coin de Mirę. Kilka drzewek na brzegu, ale nie ma pod czym wyciągnąć się w cieniu. Na Cap Malheureux trzeba stać twarzą do morza, z respektem. Tak więc ten dom mi to przypominał, oczywiście z pewnymi niuansami. Czerwony dach odcinał się na tle zielonego wzgórza, a portal miał barwę jasnoniebieską. Pomyślałam, że spędzę tam dwa tygodnie w całkowitym spokoju, rano będę pisać, chodzić na spacer, po powrocie odpoczywać, pisać, czytać, pisać, i tym żyć, z tego czerpać życie. I tak było przez pierwsze dni. Budziłam się wcześniej rano, pisałam do jedenastej. Siadałam w niewielkim saloniku, w którym meble jakby podtrzymywały dach, ścianę, cały dom. Kiedy coś przestawiałam, filiżankę, krzesło, na chwilę nieruchomiałam, nasłuchując najmniejszego skrzypnięcia, oczekując, że dom za chwilę zacznie drżeć, a potem powoli się kruszyć, ściana po ścianie, cegła po cegle, jak konstrukcja z domina. Potem jadłam na zewnątrz, tyłem do wzgórza, do wiśniowego drzewa, do owiec i gąszczu lasu, patrząc na dolinę, domyślając się rzeczki płynącej w dole, której plusk słyszałam wieczorami. Później spacerowałam aż do wczesnych godzin popołudniowych. Zagłębiałam się w chłodny las, byłam tam sama i nie bałam się. Raz przeszłam przez pole maków i wtedy właśnie odczułam brak Anny przy swoim boku. Spacerowały długo, nie dlatego że odchodziłam daleko, ale nigdzie się nie spieszyłam, przystawałam, rozmyślałam, mówiłam do siebie. Wracałam spocona, brałam prysznic przed domem w kostiumie kąpielowym, było tam coś w rodzaju kamiennej wanny topornie wyciosanej, którą już pierwszego dnia



wyczyściłam szczotką jak szalona. Z kranu leciała zimna woda, od której najeżałam się na całym ciele, a później odbywałam sjęstę jak małe dziecko. Około piątej wstawałam, żeby znowu pisać, potem czytałam, jadłam, słuchałam radia i zapadałam w cudowny sen, jakim się śpi, kiedy człowiek ma poczucie, że dobrze popracował i w pełni na to zasłużył. Ten doskonały rytm wywoływał we mnie euforię, czułam się ożywiona ciszą, ale po czterech dniach obudziłam się w nocy i zdawało mi się, że słyszę jakiś hałas. Otworzyłam drzwi i wtedy ciemna nieprzenikniona noc, bez gwiazd, bez księżyca, w połączeniu z głęboką ciszą przeraziła mnie. Nazajutrz nie pisałam, zaczęłam przeglądać szuflady, kufry, szafy. Znalazłam stare ubrania, przymierzałam je, stare fotografie, które rozłożyłam przed sobą i przyglądałam się postaciom nawiedzającym ten dom. Dlaczego się stąd wynieśli, z tego domu i z tej uroczej wioski? Długie godziny siedziałam w izolacji, zamknięte okiennice nie wpuszczały dziennego światła, wymykał mi się czas, a ja o wszystkim zapominałam. Zapominałam zadzwonić do Yves'a i Caroline, zapominałam, jaki był powód mojego tu przybycia. Wsłuchiwałam się w odgłosy domu, grzebałam w szufladach, godzinami przeglądałam starą zastawę sprzed dziesiątek lat i uświadomiłam sobie, że po mnie zostanie niewiele rzeczy – kilka książek, drobiazgi, zaledwie wspomnienie. Wpatrywałam się w oczy kobiety na zdjęciu, zapominałam o jedzeniu, pisałam coś zupełnie innego, niż zamierzałam, zapominałam, zapominałam się. Pamiętam, że stałam nad rzeką, która spływa z gór, lodowata, ciemna, że zanurzyłam stopę, potem nogę w mulistym korycie, drugą nogę, stałam tak bardzo długo, aż straciłam czucie w udach, w brzuchu, w piersi, nie czułam już ramion ani siebie, ani nic. Tylko usta, które wdychały chłód tej niepokojącej rzeki,

oczy tuż nad wartkim biegiem wody. Robiłam to metodycznie, precyzyjnie, posuwałam się dalej, chciałam zobaczyć, jak daleko mogę dojść. Myślałam o Virginii Woolf, o jej samobójstwie w Ouse, z kieszeniami pełnymi kamieni. „Mój kochany – napisała do męża Leonarda – jestem pewna, że znowu oszalałam”. Dokładnie w tym momencie przypomniałam sobie, że mam trzynastoletnią córkę, że nie powinnam tak igrać z życiem i z moimi zmorami. Wyjechałam jeszcze tego wieczoru i potrzebowałam co najmniej miesiąca, żeby dojść do siebie. Schudłam sześć kilo, nie napisałam niczego dobrego, same skreślenia, zdania bez żadnego sensu, wydawało mi się, że utraciłam skórę, że każda cząstka mojego ciała jest rozjątrzoną raną, najdrobniejsze zadrapanie przysparzało mi ogromnych cierpień. Najmniejszy hałas, zbyt mocne światło, za głośno wypowiedziane słowo, gwałtowny gest, to wszystko sprawiało, że czułam się atakowana, gwałcona. Lekarz wykrył arytmie i szmery w sercu. Leki, odpoczynek, regularna kuracja, dieta, wszystko mi przepisał. Ale ja wiedziałam, że to coś innego. Tam, w domu, który trzeszczał, gdzie umarli pozostawili swoje ślady, w tym domu, gdzie siedzące we mnie zmory napotkały inne zjawy, o mało nie oszalałam. To wszystko. I dlatego przypominam sobie o tym za każdym razem, kiedy mam ochotę porzucić pracę korektorki. Te śmiechy, które wstrząsały mną zupełnie bez powodu, otaczająca mnie beznadziejna ciemność i lodowata rzeka, w której się zanurzałam. Roman patrzy na mnie.

– Anna tak powiedziała? Tak, również piszę. Ale jestem też korektorką w piśmie kobiecym.

– Pisze pani powieści?

– Tak.

Nie pyta, ile książek napisałam, przeciwnie niż inni, tak jakby ilość miała coś wspólnego ze spełnieniem czy z sukcesem, nie pyta, czy się sprzedają, nie pyta, o czym piszę, bo wie, że nie da się tego streścić jak zwykłego wypracowania, nie pyta, czy dostałam jakieś nagrody, czy występowałam w telewizji albo: „A jak pani nazwisko?”, takie pytania zwykle mi zadają, a ja nauczyłam się odpowiadać z uprzejmym uśmiechem. Tata Alaina szeroko się do mnie uśmiecha, ma zęby noszące ślady nikotyny, co sprawia, że darzę go jeszcze większą sympatią. Pytam, czy chce papierosa, mówię to szeptem, on rozgląda się, nikt jeszcze tak naprawdę nie siedzi, nikt nie stoi, tak jakby wszyscy czekali na jakiś gong, jakikolwiek sygnał. Odkłada serwetkę na talerz, podaje mi łokieć i wstajemy niepostrzeżenie, pod rękę, pośród tej całej kakofonii. Nikt chyba nie zwraca na nas uwagi, rzucam okiem w kierunku Anny, która prawdopodobnie ma jakiś problem z rozplanowaniem stołu, marszczy brwi, palec wskazujący i środkowy przyciska do czoła, a ja już wiem, że ta łamigłówka zajmie jej dłuższą chwilę.

Wychodzimy, ciemność zapada powoli, w powietrzu wisi lekko różowa mgiełka. Pozostajemy blisko zamku, on zapala mi papierosa, nie krzywi się, kiedy proponuję mu moje słabe mentolowe, papierosy małolatów, jak mawia Yves, i w milczeniu oboje zaciągamy się białym dymem. Wtedy mówi, że jutro po południu ma samolot.

– Pan zostaje tu na noc?

– W zamku? Nie. Alain zarezerwował pokój w hotelu na dole, w miasteczku. A pani wraca do Lyonu?

– Nie, śpię tutaj. Mam piękny pokój w baszcie po lewej stronie. Widać stamtąd las i dolinę.

– A wieczorem może łanie?

– Może.

Uśmiecha się z rozmarzeniem. Zgasł mu papieros. Trzyma filtr palcem wskazującym i kciukiem, patrzy przed siebie na pusty ołtarz, krzesła w nieładzie, dzieci, które biegają i głośno coś wykrzykują, las i światła w dolinie. Czuję się tak dobrze, oparta o mur, chłodny mur przy moich nagich plecach; chciałabym, żeby to trwało, chciałabym, żebyśmy byli tylko we dwoje, tylko my dwoje, żeby nic poza tym nie istniało, żebym miała odwagę wziąć go za rękę i zaprowadzić do baszty po lewej stronie, z której widać las, dolinę, a wieczorem być może i łanie. Ale musimy wracać, mieć zadowolone miny, idealna matka, idealny tatuś, obok siebie.

Siadamy na tych samych miejscach, bezgłośnie. Anna do nas podchodzi, mówi: „Poznaliście się!”, i siada obok;

goście zaczynają dzwonić łyżeczkami o kieliszki do szampana, Yves wstaje, żeby przemówić. Przynoszą mu mikrofon, którego on nie chce, ma donośny głos, nie czyta, mimo że w dłoni trzyma kartkę papieru. Zapada szczególna cisza, to nie jest jej ojciec, to jest jej ojciec, to człowiek ciągle zakochany w swojej żonie zmarłej przed pięcioma laty, mężczyzna, który chce jeszcze uwodzić, który nigdy nie miał dzieci i który wydaje za mąż córkę jednego ze swych autorów. Zaczyna tymi słowami:

– Droga Anno, kiedy cię poznałem, uwielbiałaś czerwone buciki.

To prawda, kiedy Yves pierwszy raz ujrzał Annę, miała na nogach czerwone buciki. Nosiła je z angielskimi skarpetkami, lubiła siadać na za wysokich sofach, żeby zwisały jej nogi i żeby wszyscy mogli zobaczyć czerwone buciki. Yves powiedział: „Jakie piękne buciki!”. Anna zarumieniła się, nieśmiało na mnie popatrzyła i zarumieniła się. Jestem

wzruszona, że Yves ciągle o tym pamięta. Opowiada też o wakacjach, które Anna u nich spędziła, mówi „u Caroline i u mnie”, tak jakby Caroline ciągle żyła, jakby dziś była tu z nami. Opowiada o tym, jak Caroline nauczyła ich robić naleśniki, prawdziwe naleśniki, które podrzuca się w górę i łapie z powrotem na patelnię. Mówiąc to, robi odpowiedni gest, hop, hop, i wszyscy się śmieją. Niejeden raz naleśniki spadały na podłogę, mówi, i tu znowu wszyscy się śmieją. Potem opowiada o naszej trójce. On, Anna i ja tworzymy jedną rodzinę, połączoną nieprawdopodobnymi więzami, potem po angielsku recytuje wiersz, wspaniały wiersz zaczynający się nagłym deszczem, potem bieg do domu, ubrania, które trzeba wysuszyć, potem następuje alegoria – kiedy chcemy się rozdzielić jak bielizna wisząca na sznurze, poskręcana przez wiatr i deszcz, trzymają nas ze sobą więzy, których nigdy nie zadzierzgnęliśmy.

Milknie, wzruszony, wiem, że brakuje mu w tej chwili Caroline, Anna posyła mu całusa. Yves unosi kieliszek, odchrząkuje:

– Wznieśmy toast za Annę, Alaina i za więzy, które przetrwają.

Erie wstaje, żeby wygłosić następną mowę, ludzie się śmieją, bo przytacza rozmaite opowiadania z dzieciństwa Alaina, młodzieńcze wyskoki, pierwsze miłosne uniesienia, różne sprośne historyjki. Wzbiera we mnie złość, nie z powodu tej przemowy, ale dlatego że Erie zabiera głos po toaście Yves’a i wszystko psuje. Siedzący obok mnie Roman rzuca: „Co za idiota”. I oboje wybuchamy śmiechem. Ja przesłaniam usta serwetką, on opuszcza głowę, tylko drżą mu ramiona. Po chwili jego ręka na moim kolanie, wielka dłoń rozpostarta na mojej kościstej nodze, mój śmiech, który nagle zamiera jak zakręcony kran, moja ręka wędrująca ku jego dłoni, ledwo ją nakrywająca, moje palce szukające przestrzeni między

jego palcami, które zginają się i ściskają mocno, mocno. Mowa jeszcze trwa. Erie i wszyscy obecni w tej sali są przesłonięci gęstą mgłą. Roman odwraca dłoń, kładę na niej rękę, jak magnes, ręce kochanków, jesteśmy teraz jak wszyscy kochankowie świata, trzymamy się za ręce pod stołem.

## 10

Co się ze mną dzieje? Nagle mam dziewiętnaście lat, zapominam o swoim wieku, o samotności, o zasadach, jakie sobie wyznaczyłam na ten dzień, o wrażeniu, jakie powinnam pozostawić, matka, która wydaje za mąż córkę. Trzymam za rękę mężczyznę, którego ledwo znam, któremu nawet się dobrze nie przyjrzałam, by móc później odtworzyć jego twarz, głaszczę umięśniony skrawek ciała między palcem wskazującym a kciukiem, wyobrażam sobie, że obejmuje mnie i niemal dusi, wyobrażam sobie, wyobrażam sobie rzeczy, o których nie powinnam nawet pomyśleć, a już na pewno nie dzisiaj. Moje serce poddaje się uniesieniu, czy on to słyszy?

Kiedy zjawiają się pierwsze dania, do ostatniej chwili czekamy, po czym z żalem rozłączamy dłonie. Robimy to delikatnie, nasze ręce oddalają się od siebie, muskając się, ale po każdym kęsie, gdy odkładamy widelce, powracają do siebie, żyją swoim własnym życiem, są sobą zatrute. Pieści moją dłoń dwoma palcami, wzdłuż linii życia, linii pragnień, wszystkich linii. Dotyka nadgarstka, posuwa się do przedramienia, ale tylko troszkę, chwytam jego rękę, wyżej, przy łokciu, ściskam, ściskam, chcę go dla siebie. Śmiechy, szcęk sztućców na talerzach, krzyki dzieci, żarty, muzyka, to wszystko dzieje się wokół nas. Bez nas. Nie mam najmniejszego poczucia czasu, jestem zamknięta z

Romanem pod kloszem, gdzie liczą się tylko nasze ręce i ich mowa.

Nagle wszyscy wstają, w drugiej sali zaczął się walc młodej pary, to piosenka z filmu *fules i Jim*, „wir życia”. Roman pomaga mi wstać, nieco się odsuwa, ale obejmuje mnie w talii, gdy przechodzimy między dwoma stołami. Każde z nas wciągnęło się w ten wir życia, kładę rękę na jego ramieniu, komu mam za to dziękować, za to nagłe odmłodzenie, za tę energię, która we mnie pulsuje? Moja pierś przy jego torsie, brzuch przy brzuchu, ledwo się poruszamy, małymi kroczkami, inni przyglądają się prawdziwym nowożeńcom, oklaskują ich. Czuję się przy nim jak przy kimś, kogo znam od dawna, kogo mi brakowało, obejmuję go najpierw delikatnie, żeby sprawdzić, czy to na pewno prawda, potem mocniej, żeby nie odszedł. Nigdy. Spotkałam go pewnego wieczoru przy moim stole, bardzo dawno temu.

Pocałunki na moim rozgorączkowanym czole, jego twarz w moich włosach, jego usta zbliżające się do moich, nie boję się, on też się nie boi, nie obawiamy się, że ktoś mógłby nas zaskoczyć, tatę i mamę, nie w tej kolejności. Jego stanowczy głos, jego piękna blada twarz wzruszają mnie bardziej niż kiedykolwiek, jego usta tuż przy moich, tak blisko, tak bardzo blisko. Oczy same mi się zamykają, tak jakby ogarniał mnie lekki sen, jakby mnie pochłaniał, całuje mnie w usta. Całuję go z czułością, tkliwie, potem coraz mocniej, jego język splata się z moim, jego dłonie w moich włosach, ściskają głowę, na szyi, mój miękki brzuch, jego twardy, trwamy w objęciach, trwamy w objęciach.

Kiedy cichnie muzyka, oddaliśmy się od siebie, czuję lekki zawrót głowy, ale biorę się w garść, powracają goście, Anna i Alain już tu są, ona z przodu, on za nią, uśmiecha się do mnie, posyłam jej całusa, tak jak to

robiłam, kiedy była mała, udaje, że patrzy w górę, że chce go złapać i hop, już go ma w prawej ręce. Niesie go do serca, a ja myślę, że to jej cudowny dzień. Żartuje ze mną, jest beztroska, wesoła.

– Jesteście sobie bliskie?

– To moja jedyna córka.

Odwracam się do Romana, czy moje powieki są zaczerwienione od jego pocałunków, czy błyszczą mi oczy, czy wyglądam na dziewiętnastolatkę, która przed chwilą całowała w usta chłopca, chłopca, którego ledwo znam, czy moja twarz nosi piętno owej mieszanki przyjemności, ciekawości, pożądania i obawy?

– Ale nie jesteście sobie zbyt bliskie?

– Czasami tak. Teraz tak, bardzo. Kiedy była mała, posyłałam jej takie pocałunki; od lat już tego nie robiłam. Ciągle to pamięta. Ale...

– Ale?

– Nie, nic. Kocham ją, jest dla mnie wszystkim. Czasem też mam do niej pretensje.

Żałuję tego zdania już w chwili, gdy je wypowiadam, niegodna matka. Zakrywam ręką usta, ale już za późno, już usłyszał te okrutne słowa.

– Rozumiem. Alain też jest moim jedynym synem. Dla nas to bardzo łatwe kochać swoje dzieci, ale dla nich niekoniecznie. Mają do nas różne żale. Alain wyrzuca mi, że jestem daleko, ale ja przecież nigdy nie narażam życia, zawsze bardzo uważam, dwa razy pomyślę, zanim zrobię coś, co może być niebezpieczne, chciałbym pojechać gdzie indziej, pójść jeszcze dalej, ale myślę o nim i mówię sobie, że jestem mu to winien.

– Pozostać przy życiu?

– Tak.



Nagle Evelyne go woła: „Roman! Roman!”. Odchodzi, uśmiechając się do mnie. Zrobiło się już ciemno, dzień Anny już prawie dobiega końca. Ukradkiem biorę serwetkę, którą zostawił przy swoim talerzu. Rozkładam ją, ponownie składam, kładę na kolanie. Zostaję na miejscu aż do deseru, chyba mi go brakuje, nie wiem, czy to właśnie oznacza, ten nagły przypływ smutku, wątpliwości co do tego, czego naprawdę chcę, pożądanie, ochota, miłość; trzeba czasu, żeby to wszystko stało się jasne, ale ja już nie mam czasu. Yves siada obok mnie, bierze mnie za ramię, daje mi swoją porcję tortu, zawsze tak robi, oddaje mi ostatnie słodycze. Anna podchodzi do nas, także siada. Tyle nieobecnych osób między nami. Matthew, Caroline, moi rodzice, tyle między nami zjaw, które nas oddalają od siebie i przybliżają. Co w nas zostanie z tego dnia za kilka lat?

Co Anna będzie opowiadać dzieciom o tym dniu? Czy wspomni nieobecnych, tych, którzy tu byli, czy wspomni o przeszłej chwili, kiedy wszystko jeszcze było możliwe, kiedy wszystko można było zatrzymać? O twarzach skierowanych w jej stronę, kiedy szła pod rękę z Yves'em do ołtarza nakrytego białym płótnem? O wspomnieniach, które na pewno do niej powracały w tamtej chwili? O czym się rozmyśla w takie dni? Co się pragnie zapamiętać, zamknąć pod szklanym kloszem, co można by potem długo podziwiać? Barwę, wybuch śmiechu, tchnienie pocałunku, wilgotność podawanej ręki, odcień nieba, odgłos wiatru szalejącego pośród drzew?

Nic nie mówimy, nasze milczenie podobne jest do milczenia po seansie kinowym, kiedy film jest dobry, kiedy emocje jeszcze trwają, a obrazy migają w głowie i nikt nie chce spytać: „No i co o tym myślisz?”, bo w tej chwili, w chwili gdy to pytanie zostanie zadane, film będzie należał już do

przeszłości, bo emocje zostaną przygłuszone słowami.

Pomimo zamieszania, jakie panuje w jadalni, pomimo dzieci bawiących się widelcami, tak jakby to były szable, krzyczących „do ataku, do ataku, do ataku”, mimo tej starej kobiety, która śpi w kącie, a głowa jej opada na miękki brzuch, mimo ciemności, mimo tego dnia, który nieubłaganie przemija, mimo tego wszystkiego wesele Anny jest jeszcze terazniejszością. Moja córka z rozczeniem patrzy na dużą salę, na dzieci, na starą kobietę, nieporządek, kelnera, który zaczyna sprzątać i na pewno chciałby nas widzieć zupełnie gdzie indziej, na maki pochylające główki, naśladujące starą kobietę, i jest w jej spojrzeniu coś w rodzaju pełnej zadowolenia ulgi. Czy myśli, że to piękny dzień? Czy myśli, że zaczyna się dla niej piękne życie?

Yves trochę przysypia, jego oddech staje się ciężki, regularny, a jednak ma oczy otwarte. On także śpi w zamku, dowiedziałam się, że tu jest dziesięć pokoi. Dotykam jego ramienia, pytam, czy chciałby pójść spać. Wypreża się i protestuje:

– Ależ skąd, nie. Jeszcze potrafię spędzić bezsenłą noc. Nie jestem taki stary!

Przybiega Alain, z daleka już wyciąga rękę do mojej córki, ona wstaje, nie spoglądając na nas, bez jednego słowa. To tak właśnie wygląda. Odtąd tak już będzie. Ona będzie należała do niego, ja zajmę dalsze miejsce. Na darmo powtarzamy sobie, że wychowujemy dzieci, by mogły wylecieć z gniazda i żyć w szczęściu, tak naprawdę chcemy je zatrzymać na wyłączność, chcemy, by nigdy nie przecinały pępowiny, żeby zawsze nas potrzebowały. Jednak szczerze mówiąc, Anna od dawna już mnie nie potrzebuje. Nie czekała z tym, aż spotka Alaina, nie czekała na

zamażpójście, już dawno sprzeciwiła się tej tendencji.

W drugiej sali DJ – chłopiec w czepku nasuniętym na oczy, w granatowej marynarce i sportowych butach – puszcza muzykę. Może domyśla się, że niektórzy dostali zadyszki. Yves pociąga mnie za sobą, robię kilka kroków, *A little bit of Monica in my life, A little bit of Sandra in the sun*, mówi piosenka. Anna głośno się śmieje, tak jak wtedy, gdy była mała, gdy Madeleine tańczyła z nią flamenco. Od zawsze taniec wywoływał u niej śmiech. Po chwili mówię do Anny, że idę już spać.

– Dobrze, jutro zjemy śniadanie wszyscy razem?

– Tak. To był przepiękny dzień, kochanie.

Anna się uśmiecha, jakaś kobieta zbliża się do nas w tańcu, żeby powiedzieć, że jesteśmy do siebie podobne jak dwie krople wody. To nie jest prawda, ale jak to miło usłyszeć, mój Boże! Anna obejmuje mnie i dziękuje. Chciałabym jej powiedzieć, że właściwie nic takiego nie zrobiłam, ale pomyślałam, że może właśnie za to mi dziękuje. Za to, że nic nie zrobiłam. Że nie paliłam przy stole, nie zamyślałam się gdzieś w kącie, w samotności, że nie popełniłam żadnej niezręczności, że zastosowałam się do jej listy zaleceń.

Yves tańczy z młodą kobietą, z którą przed chwilą rozmawiał. Porusza się oszczędnie, jest trochę nieporadny. Evelyne żywo rozprawia z dwiema kobietami, ja lawiruję między stołami, jestem z siebie zadowolona, zdałam egzamin, nie zrobiłam niczego złego, nie powiedziałam niczego, co mogłoby zranić moją córkę. Mam teraz prawo do papierosa, na zewnątrz, przed zamkiem. Ktoś inny już tu pali, to Roman. Siedzi na schodach, odwraca się i pyta: „Zabawa jeszcze trwa?”. Potakuję. Pali cienkie cygaretki, siadam obok niego. Otacza nas granatowa noc, kłęby dymu,

czerwień i ciche skwierczenie naszych papierosów.

– Na czym skończyliśmy, Soniu?

Nic innego już nie istnieje, tylko te słowa. Nie odpowiadam, spokojnie kończę papierosa, czekam, aż on wypali swojego, po czym biorę go za rękę. Nie bardzo wiem, co w tej chwili robię, wiem tylko, że nie chcę, by wesele Anny skończyło się tak, jak to sobie wyobraziłam dziś rano w pokoju: ja, w łóżku, sama, trochę jeszcze pijana.

Kiedy wracamy, uderza w nas muzyka, włączyli mrugające światła, kilkoro dzieci biegnie z jednej sali do drugiej, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi. Wciąż trzymam Romana za rękę. Modlę się, żeby nic nie mówił, żeby nie zadał żadnego pytania, bo wiem, że to zburzyłoby kruchy mur, jakim jest moja beztroska w tym momencie. Nie biegnę w chwili, gdy przechodzimy obok sali, w której trwają tańce, nawet nie przyspieszam kroku. Ktoś mógłby nas zobaczyć, mnie, matkę panny młodej, prowadzącą za rękę ojca pana młodego. Wszystko może się zdarzyć i być może właśnie dlatego niczego się nie obawiam. Myślę, że jeśli cokolwiek miałyby nas zatrzymać, to teraz, tutaj.

On także nie drży ze strachu, kiedy przechodzimy przez salon, gdzie trwają tańce, a ludzie podobni są do robotów z powodu migających świetlnych kul, ich ruchy są gwałtowne, bez płynności. Idę schodami, Roman za mną, nie patrzę na niego, nie rzucam okiem ponad ramieniem, czuję po prostu jego rękę w mojej dłoni, zdecydowanie, bez żalu, bez wątpliwości. Myślę sobie, że muszę to zapamiętać. Nieczęsto tak postępowałam. Zbierać wspomnienia jak ładne kamyczki na dni, kiedy zostanę sama. Pamiętam znamiona Matthew na jego jasnym ciele, smutny uśmiech tego ranka, kiedy mnie opuszczał, moje palce w szlufkach jego

spodni, śpiew Niny Simone, kiedy się całowaliśmy, ale z nim mieszkałam sześć miesięcy i żałuję, że nie zapamiętałam więcej. No więc dziś wieczór myślę sobie, że powinnam być czujna jak nigdy, bo nie wiem, co on zechce mi powiedzieć i pokazać, bo wiem, że między nami nic nie może się zdarzyć, po prostu zwykły przypadek na drodze życia, ja to wszystko dobrze wiem. Chcę zapamiętać nasze stłumione kroki na dywanie z bordowego weluru, który ochrania schody. Moją lewą rękę, która przesuwa się po gładkiej balustradzie, światło, które się przyciemnia, w miarę jak schody zakręcają, oddalający się zgiełk zabawy, nasze cienie na ścianie, wydłużone cienie, nierzeczywiste. I to wrażenie oczekiwania, niemal namacalne. Szelest mojej sukni, nasze ostrożne, a jednak zdecydowane kroki na posadzce w korytarzu prowadzącym do pokoju, automatyczny przycisk światła, który wydał dźwięk „klak”, ale nas nie zatrzymał. Moglibyśmy go pomylić z czymś innym, z odgłosem kroków, trzaskiem zamykanych drzwi, czyimś głosem, ale nie, to i tak by nas nie zatrzymało. Chcę pamiętać szczeł klucza w zamku, moją rękę, która w tym momencie puszcza jego dłoń, próżnię, jaka ogarnia moje palce, jego ciało tuż za moimi plecami, jego oddech w moich włosach, chłód w pokoju, kiedy otwieram drzwi, bo zostawiłam otwarte okno, i zapach moich perfum pomieszany z unoszącym się w powietrzu zapachem nocy.

Cichutko zamykam za nim drzwi. Potem odwracam się, opieram o drzwi, bo nagle czuję słabość w nogach, i wtedy już wiem, że jesteśmy sami, i wiem, do czego nieodwołalnie doprowadziłam.

Czy zastanawialiście się czasem, jak to się dzieje, że morze w wypełniony samotnością zimowy dzień wydaje się zupełnie inne? Dziewicze, całkiem świeże, jakby nie wiadomo skąd wyłoniło się przed chwilą, naiwne i niewinne. Tak jakby nigdy nikt go nie tknął, nie objął, nie przeniknął, nie wchłonał, nie wypluł, nie ogarnął ze wszystkich stron. W tej chwili czuję się właśnie tak, gdy opieram się plecami o drzwi, a jego cień przesłania moją twarz. Niczego nie przeżyłam, czterdzieści dwa lata życia niczego mnie nie nauczyły, niczego, w tym momencie jestem jak dziecko. Moje serce nigdy nie było zranione, ciało nigdy nie krwawiło, głowa nigdy nie pękała od lęku, nie potrafię jeszcze kłamać, zdradzać, odchodzić, nienawidzić, oszukiwać, kraść, udawać. Nie umiem. Nigdy nie byłam chora, nie myślę o śmierci, nigdy nie cierpiałam, po prostu żyję.. Przyszłość, jutro, to wszystko, co zawsze było dla mnie trudne, bo naznaczone nieprzewidywanym, to wszystko, co jest ruchome jak piaski, co pociąga nas tylko wtedy, gdy nigdy jeszcze tego nie skosztowaliśmy, to wszystko mnie czeka i nie odczuwam przed tym najmniejszej obawy. Gdzie zaczyna się nieświadomość, a gdzie kończy odwaga?

Jest pół do jedenastej. Idę zamknąć okno i dostrzegam jednocześnie księżyc i nakładające się nań moje odbicie w szybie. Na lekko rozjaśnionym niebie odcinają się wysokie drzewa z lasu rosnącego na tyłach zamku. Nie ma żadnych barw, nie widzę rzepakowych pól, doliny, mgły, domów, to obraz w czerni i bieli. Uśmiecham się do mojego odbicia, włosy przysłaniają mi twarz, która wydaje się przez to jeszcze mniejsza. Roman przybliżył się do mnie, czuję się, jakbym oglądała film. Widzę jego

twarz, zwichrzone włosy, jak na starym filmie, na lekko poruszonym zdjęciu, między nami księżyc, Roman staje za mną, zanurza twarz w moich włosach, uśmiecha się, a potem nic już nie widzę, bo zamykam oczy. I ta nieprawdopodobna pewność, że odtąd wszystko potoczy się lepiej.

Jedno wiem od razu: to, że postępujemy słusznie. To przekonanie oraz fakt, że się niczego nie obawiam, że nic mnie nie rozdrażnia, a raczej daje mi spokój i pełnię, jakiej rzadko, a może nawet nigdy nie doświadczyłam. Znaczenie chwili uświadamiałam sobie dopiero później, kiedy już minęła, stała się przeszłością, a mnie pozostawał tylko smutek i wspomnienia. Teraz czas jakby nieco zwolnił, dzieli się na długie sekundy, którymi mogę się delectować, w które mogę cała wniknąć, żeby każda cząstka mojego ciała rozkoszowała się tą chwilą. Nie spieszy mi się i nareszcie nie próbuję zwyciężyć przemijającego czasu ani mu ulegać.

A jednak nie jest idealnie. Chwilami ogarnia mnie wstyd jak młodą dziewczynę, Roman jest trochę nieporadny, chcemy odnaleźć punkty odniesienia z pierwszego spotkania, oczy, usta, nie puszcza my rąk, nie robimy nic, co by nam nie pozwoliło patrzeć sobie w oczy, ale właśnie w tych niezręcznościach, niezdecydowaniu, w tym wzruszającym skrepowaniu znajduję przyjemność, oczy zachodzą mi mgłą, płyną łzy i czuję drżenie serca w piersi. Nie udaję, że jestem idealną kochanką, że wszystko już wiem, nie odczuwam potrzeby udowodnienia, że często kocham się z mężczyzną, po prostu jestem prawdziwa w tym, co mój wiek ofiarował mi najlepszemu, a mijające lata najgorszego.

Śmiejemy się z naszego niezdecydowania i właśnie w tej chwili jest lepiej niż doskonale. Wzajemne porozumienie, ale nie takie, jakie łączy

kochanków jednej nocy, harmonia, jakiej niekiedy nie da się osiągnąć po latach wspólnego życia. Pod obojczykiem ma trzy znamiona odległe od siebie o grubość palca, dwa inne na ramieniu, jeszcze jedno większe na biodrze, można je chwycić i delikatnie rolować palcami. Znamię różowe, trochę zmięte, ale różowe jak policzki młodej dziewczyny w osiemnastowiecznej powieści. Jeszcze jedno jest po wewnętrznej stronie uda, nie śmiałam przyjrzeć się z bliska, muskałam tylko, zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że także jest różowe. Pomyślałam, że przecież mam dużo czasu na sprawdzenie. Po raz pierwszy w życiu nie spieszy mi się, jutro, pojutrze, za miesiąc, za rok, jakie to ma znaczenie, co dzieje się dzisiaj, w czasie wesela Anny, to mi zostanie na całe życie. Łapię się na tym, że nie robię sobie żadnej nadziei, niczego się nie spodziewam.

Na dole zabawa trwa, tak jakby serce biło o podłogę, nie wiem, która godzina, nie mam odwagi się poruszyć. Roman leży w zagięciu mojego ramienia, nie śpi, jesteśmy rozbudzeni jak nigdy. Modlę się, żeby ta chwila trwała zawsze. Nie żeby Roman był w moim łóżku, nie, wiem, że to nie jest możliwe, może nawet niepożądane, ale żeby to poczucie, że zrobiłam to, co było do zrobienia, że byłam prawdziwa ciałem i umysłem, posłuchałam mojej głębokiej intuicji i nie pomyliłam się, żeby to poczucie trwało całe życie. Mam wrażenie, że teraz po raz pierwszy przeżywam to, co można by nazwać czymś prostym, pięknym, przyjemnym, że łapię nieuchwytną, cenną chwilę, która zawsze nam umyka, bo tracimy czas na pośpiech, na gromadzenie rzeczy, na chęć zdobywania, a nie umiemy już kontemplować.

Myślę o tym dniu, który zaczął się od nastroju melancholii, ospałości, kiedy z Anną byliśmy jeszcze w domu. Chroniły nas ściany mieszkania,



byłyśmy też chronione przed działaniem czasu, a gdy tylko wyszłyśmy na zewnątrz, bańka pękła, godziny nas rozdzieliły i uniosły ze sobą nasze ulotne porozumienie i nasze przeszłe życie. Od kiedy jestem z Romanem w tym pokoju, wszystko ucichło, czas jak wielka fala pojawia się i odpływa.

Wyciągam rękę, żeby znaleźć zegarek, i w tej samej chwili otwierają się drzwi. Na moment nieruchomieję, chwytam zegarek, jest za kwadrans północ, wiem, że to Anna. Stara się nie robić hałasu, poznaję szelest jej kroków, usiłuje stawiać swe drobne stopy najpierw na paluszkach; zawsze tak robiła, ale zawsze słyszałam, jak nadchodzi, może po prostu wyczuwałam. Tego wieczoru jest jeszcze zupełnie nowy odgłos, szelest sukni, którą być może nieco podciąga. Nie boję się, tym razem nie. Przez całe życie odczuwałam strach przed swoją córką, że nie będzie potrafiła jej wychować, że będzie mnie krytykować, że będzie się ode mnie za bardzo różniła, strach, że będzie do mnie zbyt podobna, że będzie za bardzo mną, strach, że zawiodę, że przestanę kochać, nie będę umiała kochać, że nie będę kochana. Myślę, że gdyby kiedyś spytano mnie, jak bym określiła moje macierzyństwo, to właśnie byłoby to uczucie: obawa. Ogromna odpowiedzialność, młode życie w moich rękach, czy zdajemy sobie z tego sprawę, kiedy dajemy życie, czy choć przez chwilę o tym myślimy: ciężar życia z jego sukcesami, niepowodzeniami, nieudanymi krokami, życie, które złączone jest z naszym, tak jakby to cholerne własne życie nie wystarczyło. Nie, myślimy o twarzy, jaką będzie miało nasze dziecko, do kogo będzie podobne, spędzamy całe dni na przyglądaniu się, jak śpi, obserwowaniu jego rysów, myślimy o gaworzeniu i o pierwszych wypowiedzianych słowach, o dziecięcych figlach, które wywołują nasz

śmiech, myślimy o kolejnych urodzinach i o nowych bucikach, które z dumą będzie nosiło, o pierwszym rowerku, o pierwszej chwili, kiedy nie trzeba będzie już go podtrzymywać, o pierwszych krokach, o obowiązkach, o jego inteligencji, na pewno przecież będzie inteligentne, na pewno będzie śliczne.

Szeptę do Romana: „Nic się nie bój”, Anna wchodzi. Mam jeszcze czas, żeby spojrzeć na jej twarz tuż przedtem, na jej minę: zanim zorientuje się, że leżę w łóżku z mężczyzną, jej teściem. Przytrzymuje suknię podciągniętą do łydek, nie ma już nieruchomego wyrazu twarzy, jaki miała podczas ceremonii, zbyt blady podkład, zbyt czerwona szminka do ust. Jest cudownie zmęczona, co sprawia, że ma szczęśliwą minę, poczucie, że dzisiaj wszystko z siebie dała, że uczyniła z tego dnia, jak to się mówi, najpiękniejszy dzień swego życia. Ma nawet na ustach figlarny uśmieszek.

W końcu zobaczyła. Co właściwie widzi? Leżymy wstydliwie przykryci, na wierzchu są tylko nasze ręce, szyje, głowy. Anna opuszcza suknię, zakrywa usta ręką, tłumi w sobie okrzyk i ucieka. Jej pięty stukają o podłogę, zatrzaskuje drzwi, słyszę, jak biegnie korytarzem.

W dalszym ciągu się nie boję, ani drgnę. Roman wzdycha, bierze mnie za rękę, jestem mu wdzięczna za milczenie. Wstaję, wkładam suknię, którą miałam na weselu Anny, nie żegnam się, nie chcę zadawać sobie pytania, czy Roman będzie tu, gdy wrócę, idę porozmawiać z Anną.

Kilkoro gości jeszcze tańczy w jadalni. Mały chłopiec śpi na trzech zsuniętych krzesłach. Anny tu nie ma.

Wychodzę, lekko drzę w chłodnym powietrzu, widzę jej jasny cień obok ołtarza. Zawsze bałam się rozmowy z córką, tak jakbym czuła wobec

niej pewną niższość, jakbym nie potrafiła znieść jej argumentów czy wytoczyć swoich, żeby ustąpiła. Zawsze przygotowywałam sobie to, co jej powiem, tysiące gestów, tysiące racji, od których aż zaniemówi, a w rozmowie nigdy nie udawało mi się tego powiedzieć, tak byłam sparaliżowana moją miłością i strachem. Dzisiaj jednak powoli do niej podchodzę, mam bose stopy, z czego dopiero teraz zdaję sobie sprawę, a przede wszystkim niczego się nie boję.

– Anna?

– Zostaw mnie w spokoju, mamo.

Przedtem wycofałabym się pod pretekstem uszanowania jej woli, wzdychając wewnętrznie, że nie jestem w stanie od razu rozwiązać konfliktu, ale teraz słyszę „mamo”, które wypowiedziała, och nie, nie z delikatnością, nie rozmarzajmy się za bardzo, ale ze spokojem, nie powiedziała tego tonem zirytowanej mieszczki, ale ze spokojem. Siadam za nią z tyłu, umieram z chęci pogłaskania jej po szyi, pragnęłabym objąć ją, rzucić się na ziemię, przeproszać, tysiące razy przeproszać, że jestem taką niedobłą matką. Ale teraz tylko siadam, niebo jest rozjaśnione, ponad zanikiem widać wiele gwiazd, co przypomina mi Romana, po raz pierwszy widząc je, nie myślę o Matthew, wodzę wzrokiem za kilkoma gwiazdami, aż niebo schodzi w dół i chowa się za las. Noc pachnie drzewem, wilgotną trawą, spulchnioną ziemią. Wzdycham odruchowo, Anna także. Patrzy w niebo. I wtedy, gdy wszystko tutaj wydaje się doskonale znieruchomiałe i nieodmienne, gdy nic nie zakłóca porządku rzeczy, matka i córka siedzą w ciepłe nocy, bo wreszcie znalazły, jak mi się przez chwilę wydaje, swoje miejsca w świecie, bo w końcu w tych chwilach, w ostatnich chwilach wesela Anny jesteśmy tylko kobietami, małymi, nic nieznaczącymi wobec

nieba usłanego gwiazdami, być może z tych wszystkich powodów po raz pierwszy opowiadam jej historię mojego romansu z jej ojcem.

Wszystko zaczęło się, kiedy spotkałam go w księgarni przy British Museum w Londynie, a kończy się tego ranka, kiedy on wyjeżdża, aby przeżywać swoje marzenia. Opowiadam jej, jak kupowaliśmy filizanki, przez chwilę Anna lekko drży, nie mam odwagi spojrzeć, czy płacze. Nie upiększam mojej opowieści, nie robię cudzysłowów, nie staram się nadmiernie ozdabiać, by sprawić jej przyjemność, próbuję po prostu powiedzieć, co działo się w mojej głowie, kiedy miałam osiemnaście lat i kochałam jej ojca. Kiedy wokół nas zapada cisza, kiedy nawet wiatr przestaje poruszać drzewami, Anna odwraca się do mnie – ma błyszczące oczy. Wstaje, siada obok mnie, a ja opieram głowę na jej brzuchu. Obejmuje mnie mocno, głaszcze po włosach, nie wiadomo, kto tu jest córką, kto matką, nigdy tak nie robiła, nigdy tak się jej nie poddawałam. Dość długo pozostajemy w tej pozycji, po czym pyta po dziecinnemu, tak jak od lat już nie pytała:

– Mamo, co teraz będzie?

Podnoszę się, obejmuję jej twarz dłońmi, jej piękną twarz, mam najpiękniejszą córkę na świecie, to moje dzieło, tylko moje, prawie. Obejmujemy się w talii i powracamy do zgiełku zabawy. Przy drzwiach jeszcze raz mnie obejmuje, mówi, że zobaczymy się przy śniadaniu, niedługo. Już odchodzę, kiedy zatrzymuje mnie jeszcze i mówi z oczami pełnymi łez:

– Dziękuję, mamo, nie wiedziałam, że tak bardzo go kochałaś.

Odchodzi, biegnie do męża. Może tylko wyobraziłam sobie, że biegnie, bardzo możliwe, ale przyjemnie tak pomyśleć, że własne dziecko biegnie

ku swojej przyszłości.

Wchodzę po schodach, bez najmniejszego szmeru, boso i zanim nacisnę klamkę drzwi do mojego pokoju, zanim zobaczę, czy Roman jeszcze tu jest, czy już go nie ma, zanim dowiem się – jak spytała moja córka – „co teraz będzie”, myślę sobie, że wesele Anny z pewnością jest najpiękniejszym dniem mojego życia.